20. IV — 24. IV Międzynarodowy Kongres Obrony Pokoju zbiera się w Paryżu

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 10 kwietnia 1949 r. | Nr 15 (228)

EDMUND OSMAŃCZYK

WALKA Z MILIONAMI BIERNYCH

Berlin, w marcu 1949

I

O wojnę nie potrzeba się nawet starać. Wystarczy zręcznie motać supły nieporozumień, spokojnie stwierdzać niemożliwość porozumienia, pozwalać dojrzewać wojnie w umysłach ludzkich skłonnych do fatalizmu nie-myślenia, a fala ludzka potoczy się na dno wojny już sama. O wojnę nie potrzeba walczyć. Po co? Wystarczy nie starać się o pokój. Historia rozsypała po całym świecie dość prochu, by móc podpalić świat ze wszystkich stron każdej chwili. Wystarczy chwila ludzkiej nieuwagi.

Odpowiedzialność indywidualna za wybuch wojny jest, historycznie rzecz biorąc, zawsze wątpliwa. Jeszcze bardziej wątpliwa jest odpowiedzialność zbiorowa. Nawet najbardziej — zdawałoby się — prosty przypadek Hitlera i narodu niemieckiego dawno już przestał być

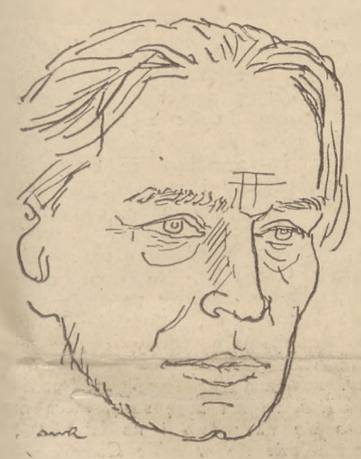

rys. Marek Rudnicki

Edmund Osmańczyk

przykładem wyłącznej odpowiedzialności za wojnę jednostki indywidualnej, czy jednostki zbiorowej. Hitler po prostacku starał się o wojnę — to prawda. Naród niemiecki ślepo szedł za swym „wodzem" do wojny — to prawda. Ale prawdą jest również to, iż byli ludzie w świecie, którzy dążenia Hitlera znali, mogli im przeciwdziałać, a nie przeciwdziałali. W dyplomacji nazywa się to zbieżnością interesów. Historia ten rodzaj zbieżności nazywa współodpowiedzialnością za wojnę. Hitler miał wspólników. Nie zmniejsza to jego winy, ale obarcza winą i innych. Państwa, które widziały w Republice Weimarskiej niebezpieczeństwo możliwości zhitleryzowania się narodu niemieckiego i miały możność przeciwdziałania temu — nie przeciwdziałały. W sferach finansowych nazywa się to wspólnotą interesów. Historia nazwała to współodpowiedzialnością wielkiego międzynarodowego kapitału za zhitleryzowanie się narodu niemieckiego. To nie zmniejsza winy Niemców, ale obarcza winą i innych.

Krąg winowajców zatem się rozszerzył. O ukaraniu wszystkich mowy nie ma. Im więcej winowajców tym lepiej dla nich. Wymiar sprawiedliwości ludzkiej jest ograniczony. **Nie liczba ofiar wojny decyduje o wymiarze sprawiedliwości, lecz liczba winowajców.** Jeżeli liczba ta jest zbyt wielka — to sprawiedliwość ogranicza się do wątpliwego norymberskiego przykładu, po czym ogłasza — czas zabliźnia pamięć — generalną amnestię. Winowajcy i współwinowajcy z wszelkiego rodzaju wspólnot interesów utwierdzeni w swej bezkarności i w swej anonimowości indywidualnej i zbiorowej, poczynają na nowo wiązać się interesami.

Procesy zbrodniarzy wojennych — to była jeszcze jedna złuda „sprawiedliwości dziejowej". Cóż mi za pociecha, jeśli po Trzeciej Wojnie Światowej znów się powiesi 10 znanych, znienawidzonych osobistości i 10.000 przypadkowo wplątanych w sieć płotek. Ale Trzecia Wojna odbędzie się przedtem i pochłonie stomilionów istnień ludzkich (I—12 milionów, II — 35 milionów, III — 100 milionów — rachunek XX wieku).

Po utraceniu życia przez sto milionów ludzi pozbawiać jeszcze życia iluś tam winnych „według prawa" osobników, przegranych indywiduów, to absurd. Szubienice Norymbergi nie odstrasza hazardzistów wojny. Ci mają zawsze ostatnią kulę w rewolwerze dla siebie, albo fiolkę z trucizną na wypadek przegranej. Absurd „karania" zbrodni wojennych polega na oczywistym uniewinnianiu masy winowajców przez sam fakt ukarania „przykładowego" tylko jednostek. Szczytem zaś tego absurdu jest to, że karze się za przygotowywanie wojny... po wojnie!

Do czego zmierzam? — Ano do wniosku chyba logicznego, że czas rozpędzić opary powojennych naiwnych złudzeń i pesymistycznych rozczarowań i postawić sprawę walki o pokój, jako kamień probierczy każdego człowieka, każdej społeczności, każdego narodu, każdego kontynentu, całej ludzkości.

Najpierw rozwalmy niebezpieczne legendy.

Kłamstwem jest, że wojny wywołują zbrodnicze jednostki.. Jeśli zbraknie Hitlera, który zechce świadomie zepchnąć ludzkość z ostatniego milimetra pokoju w przepaść, to zawsze znajdzie się nieznany nikomu zamachowiec w Serajewie i uczyni to samo. Istnieje ekonomiczny mechanizm wojny, który wyrzuca na powierzchnię życia gotowe mu służyć zbrodnicze jednostki, ale zbrodnicze jednostki są zawsze bezsilne, jeśli nie mają pomocników i pomocników — pomocników. O to rozszerzanie się kręgu winowajców wojny chodzi, nie o zbrodnicze jednostki. Te rozpoznać łatwo i łatwo napiętnować. Ale jak udowodnić winę człowiekowi, który o wojnę nawet się nie starał, a po prostu wiedział, że przyjdzie i skalkulował odpowiednio swe interesy? Jak udowodnić winę tym milionom, które w latach pokoju krok za krokiem szły ku wojnie przez to, że nie stawiały jej oporu? Ci ludzie nie wyróżniają się niczym spośród milionów innych ludzi. Ani są z gruntu źli, ani obłędnie głupi, ani z gruntu fałszywi, ani szatańsko przebiegli. Ot ludzie, jak inni ludzie. Wszystkich odmian charakterów, uzdolnień, zawodów. Ukryci w gąszczu życia społecznego, politycznego, gospodarczego, kulturalnego, religijnego, zatracają swoją odrębność przez niewątpliwą użyteczność zawodową swych indywidualności.

Legendą jest, że można ukarać winnych wojny. Prawdą natomiast jest, że można jedynie utwierdzać w bezkarności miliony, miliony ludzi winnych wojny.

Na to, aby zapobiec wojnie trzeba karać przygotowujących wojnę **przed** wybuchem wojny. A na to, by ich móc napiętnować, trzeba ich móc wpierw **rozpoznać.** I to w całej rozciągłości. Od zbrodniczych jednostek do ciurów czyhających na buty pierwszego poległego, od szabelkowatych durniów, marzących o wojennej sławie do przebiegłych kupczyków, liczących na nowe źródło zarobku, od politycznych mądrali do bezmyślnych powtarzaczy cudzych pacierzy, od „bezpartyjnych" dyrektorów wspólnot interesów do „niepolitycznych" półgłówków. Trzeba skończyć z zabawą w chowanego.

Wiadomo, że ci ludzie sami się nie ujawnią. Lecz na to jest prosta rada: — niech się ujawnią ci wszyscy, którzy chcą walczyć o pokój. **Kto nie walczy o pokój, ten przygotowuje wojnę.** W tym sensie należy już dziś do odpowiedzialności pociągnąć i odpowiedzialnością zagrozić milionom: milionom biernych. Bo o wojnę nie trzeba się nawet starać. Wystarczy zręcznie, niedostrzegalnie motać supły nieporozumień, spokojnie stwierdzać niemożliwość porozumienia, pozwalać dojrzewać wojnie w umysłach ludzkich, skłonnych do fatalizmu nie-myślenia, a fala ludzka potoczy się na dno wojny już sama. O wojnę nie potrzeba walczyć. Po co? — Wystarczy nie walczyć o pokój. Historia rozsypała po świecie dość prochu, by móc podpalić świat ze wszystkich stron każdej chwili. **Kto nie walczy o pokój przygotowuje wojnę.**

II

Nie ma co ukrywać — cztery pierwsze lata pokoju po drugiej wojnie światowej niewiele się przyczyniły do zbudowania trwałego pokoju. Wojna dojrzewa starym wypróbowanym systemem dzielenia świata na dwa wrogie obozy. Z kolei demonizuje się przeciwnika, aby strach paraliżował zdolność myślenia i wzmagał bezwład mas ludzkich fatalizmem nieuchronnej rzekomo katastrofy. Bezradni mali ludzie, nie widząc drogi do trwałego pokoju, poczynają przestawiać się psychicznie na wojnę i poczynają rachować co wojna zmieni. W śmieszny rachunek „prawdopodobieństwa" wstawiają na nowo wszystkie historyczne złudy i wszystkie swe troski, ambicyjki, spekulacyjki. Nadzieja radykalnej odmiany staje się podstawą nowej wiary. Bo **jeśli człowiek nie wierzy w pokój, to musi wierzyć w wojnę**

Dziennikarz, który jeździ po świecie i rozmawia z ludźmi różnych narodowości, klas, zawodów, z przerażeniem spostrzega jak ludzie w kilka lat po straszliwej wojnie, na nowo są chwytani przez upiora fatalizmu i jak rozszerza się krąg świadomych i nieświadomych winowajców przyszłej wojny. A przy tym cóż za diabelska mieszanina wrogich sobie nadziei, **łącząca** ludzi w jednym obozie przygotowywaczy wojny. Ludzie nie wierzący w pokój, ludzie, którzy gotowi są mordować się nawzajem w imię swoich wrogich nawzajem nadziei dziś wspólnie przygotowują wojnę, sądząc, że ich tylko nadzieja się spełni. Ano, jeśli człowiek nie wierzy w pokój to musi wierzyć w wojnę, bez względu na to, w jakim towarzystwie współwierzących się znajdzie.

III

Do wiary w wojnę nie potrzeba się dobijać myśleniem. Wystarczą chytre nadziejki, ambicyjki, „polityczne" spekulacje i niewiara w pokój. Do wiary w pokój trzeba się przebić przez mur fatalizmu, gąszcz złudnych nadziei, bagno egoistycznych ambicji, dym „narodowych dążeń. Wiara w wojnę do niczego nie zobowiązuje. Stwierdza się niemożliwość porozumienia i basta. Wiara w pokój zmusza do **budowania pokoju i walki o pokój.** Zakłada się możliwość porozumienia między narodami i walczy się o nie.

Ludzie wierzący w wojnę ufają, iż ktoś tam już za nich wojnę tę wywoła, poprowadzi, zdejmie z nich odpowiedzialność za wojnę i wyjmie dla nich z ognia kasztany. Ludzie walczący o pokój sami chcą przypilnować pokoju i sami chcą ponosić **odpowiedzialność** za pokój.

Czy nie będzie bardziej celowe, jeśli obok podziału: „zbrodniarze wojenni" i „miłośnicy pokoju" powiemy ponadto, że ludzie dzielą się na tych, którzy biorą na siebie odpowiedzialność za pokój i na tych, którzy pozostają nieodpowiedzialni. „Zbrodniarze wojenni" — to są jednostki, jak uczy przykład norymberski. Nieodpowiedzialni natomiast — to jest masa. Tej masy się nie ukarze, ani nie zniszczy, tę masę można tylko **sparaliżować przeciwwagą masy ludzi odpowiedzialnych.**

W ciągu czterech powojennych lat świat się znów podzielił na dwie wrogie sobie hemisfery. Pozornie sprawa wydaje się beznadziejna. Nieodpowiedzialni triumfują. Już się nie mówi nawet o pokoju, tylko o „zimnej wojnie". Już się kpi z „ofensywy pokoju".

Czy zauważyliście, jak niepostrzeżenie słowo „wojna" rozdęto autorytetem i godnością.

„Wojna jest złem koniecznym" — powiadają nieodpowiedzialni... — Malum necessarium" — dodają bardziej uczeni. „A poza tym cóż możemy uczynić przeciw wojnie? — Nic!"

IV

Wrocławski Kongres Pokoju przekreślił to „Nic przeciw wojnie uczynić nie można". Utwierdzony w mózgach ludzkich podział świata na dwie wrogie sobie hemisfery zniekształcił się nowym podziałem świata, tym razem nie w poprzek kuli ziemskiej, lecz poprzez wszystkie narody. Kongres Wrocławski pokazał, że we wszystkich narodach oprócz ludzi nieodpowiedzialnych są ludzie gotowi walczyć o pokój i ponosić zań odpowiedzialność. W podzielonym na wrogie hemisfery świecie narody przeciwnych półkul automatycznie stają się sobie nawzajem wrogie. To jest automatyzm każdego politycznego podziału świata. I oto nagle ludzie tych różnych do wrogości zaprawianych narodów, zawarli sojusz. Chcą wspólnie walczyć o pokój.

W ciągu kilku miesięcy wspólna walka o pokój ludzi odpowiedzialnych rozszerzyła się na obie wrogie wciąż jeszcze sobie hemisfery, objęła wszystkie narody i wszystkie państwa.

W Niemczech w klasycznym kraju wojennego podziału najwyraziściej zaznaczył się nowy pokojowy podział świata. Tu ujawnianie się ludzi wierzących w pokój i walczących oń, zdemaskowało natychmiast cały obóz wojenny. Zabawa w chowanego skończyła się. Prawda, że kto nie walczy o pokój, ten przygotowuje wojnę, znalazła w Niemczech Wschodnich i Zachodnich potwierdzenie natychmiastowe.

Na każde stwierdzenie ludzi pokoju, że istnieje możność porozumienia, ludzie wojny natychmiast wołają, że to nieprawda, że to podstęp, że to „bolszewicka propaganda". Ludzi walczących o pokój nazywa się świadomymi lub nieświadomymi agentami Związku Radzieckiego. Walczyć o pokój, o kompromis między mocarstwami zaczyna znaczyć tyle samo, co walczyć o komunizm w świecie. Ma to odstraszać od walki o pokój ludzi, nie będących zwolennikami komunizmu.

W światowym laboratorium, jakim są dziś Niemcy Okupowane, te reakcje reakcji na wszelkie próby nawiązywania łączności pokojowej między Niemcami Zachodnimi a Wschodnimi są już tak bezwstydnie prowojenne, iż można z całą pewnością stwierdzić, że eksperyment walki o pokój udał się znakomicie. Skończył się okres bezwładu masy ludności, fatalistycznie nie wierzącej w pokój i przygotowującej się psychicznie do nowej wojny.

Zaczęła się natomiast walka! Jasno, wyraźnie trzeba się opowiedzieć i stanąć do walki, albo po jednej, albo po drugiej stronie. Miliony cichych, spokojnych przygotowywaczy wojny zostało wyrwanych z chytrego wyczekiwania. Muszą się bronić, albo przejść na drugą stronę i walczyć o pokój. — Kto chce wojny, musi walczyć o wojnę przeciw nacierającym nań ludziom pokoju.

Na to, żeby się obronić przed sądem denacyfikacyjnym wystarczyło dowieść, że się żyło spokojnie i nie pomagało się aktywnie Hitlerowi. Takie oczyszczanie świata z wojennego faszyzmu nie warte było funta kłaków i skończyło się całkowitym fiaskiem.

Teraz, aby się obronić przed zarzutem przygotowywania wojny, trzeba będzie udowodnić swą aktywność w walce o pokój. I w tym tkwi cały sens walki o pokój. Można napiętnować ludzi wojny przed wojną, a nie po wojnie, kiedy jest już zapóźno i kiedy nie ma to żadnego znaczenia, bo już nową wojnę w oparciu o stare siły, nowi ludzie inicjują.

Edmund Osmańczyk

ŻAGARYSTA

DWIE KSIĄŻKI O WOJNIE

W roku 1939, w kinach różnych krajów europejskich, można było oglądać film z Flipem i Flapem, który tak się zaczynał:

Melancholijnie żujący gumę żołnierz amerykański został postawiony na posterunku, podczas gdy jego kompania ruszyła z okopów do ataku. Był to listopad roku 1918, we Francji. Następnie zobaczyliśmy, co się z nim stało po dwudziestu latach. Kompania, widocznie w zamęcie Armistice o nim zapomniała, ponieważ jednak żołnierz był służbistą wykonywał dalej swoje obowiązki. Przez dwadzieścia lat miarowym krokiem chodził w tym miejscu, gdzie go postawiono, wydeptał głęboki rów, a obok wznosiła się olbrzymia góra puszek od konserw. Odkryto go z tego wyłącznie powodu, że zobaczywszy samoloty zaczął gorliwie strzelać do nich z karabinu maszynowego.

Film ten, oglądany w chwili wybuchu II wojny światowej, wzbudzał rozliczne refleksje. W tym zabawnym, jakkolwiek dość głupawym pomyśle, wyrażała się pewna filozofia: że wojna jest to zdarzenie, odseparowane od normalnego życia, że dzieje się ona w innym wymiarze. Tej filozofii hołdowało zresztą wielu autorów książek o I wojnie światowej. Wojna dla nich była czymś w rodzaju trzęsienia ziemi. Przychodziła, mijała, a życie szło dalej swoją koleją. Ta filozofia jest zresztą dzisiaj rozpowszechniona wśród Niemców, dostarczając im pewnej pociechy: tak się złożyło, że była wojna — co do okrucieństw i zbrodni, to cóż, na wojnie jak to na wojnie — ale po co o tym wspominać.

Są zbocza Wogezów, na które patrząc, nieświadomy rzeczy podróżny sądzi, że są pokryte winnicami; przy bliższym przyjrzeniu się jednak widzi, że rzekome paliki winnic to krzyże. I te cmentarze w Wogezach i pola Verdun stopniowo okrywała niepamięć, albo raczej coś w rodzaju pamięci przyćmionej, którą rezerwuje się dla pamiątek po jednorazowych kataklizmach. Druga wojna światowa sprawiła, że to odcinanie zjawiska wojny od jej źródeł i następstw jest możliwe chyba u ludzi wyjątkowo tępych. Dlatego autorzy książek o II wojnie prawdopodobnie są, albo będą zainteresowani tłem szerszym, nie ograniczając się do tworzenia „literatury okopów", czy literatury akcji bojowych.

Przyjrzyjmy się tym razem wojnie od strony amerykańskiej. Co czują i co myślą żujący gumę wynieśli wysłańcy kraju sprawności technicznej, zachowujący na zewnątrz postawę półbogów? Pewnej odpowiedzi mogą udzielić dwa debiuty młodych powieściopisarzy, które narobiły w Ameryce sporo hałasu.

Autor artykułu jeździł ubiegłego lata często tak zwaną „ferrą", czyli promem przez pewną zatokę morską na wschodnim brzegu Stanów Zjednoczonych. Na promie tym (ładującym około 100 samochodów) podziwiał rozrzutność, która wyraża się w zbudowaniu aż czterech wygódek: dla białych kobiet, dla białych mężczyzn, dla czarnych kobiet, dla czarnych mężczyzn. Przyzwyczaiwszy się jednak uważać ten podział za naturalny (podobno) od stworzenia świata, biorąc również pod uwagę, że utrącono starannie projekt stworzenia w wojsku oddziałów mieszanych, złożonych z białych i Murzynów, jak również zważywszy fakt istnienia na uniwersytetach numerus clausus — jednym słowem uwzględniając w należytym stopniu okoliczności — podzieli artykuł na dwie części: na portret czarnego żołnierza i białego żołnierza. Tak się zresztą złożyło, że jedna z omawianych książek została napisana przez Murzyna, a druga przez białego.

Murzyn w Niemczech

Tematem powieści dwudziestoletniego Murzyna, nazwiskiem William Gardner Smith są peryferia wojny, ale peryferia jak się rzekło są ważne. Powieść „Last of conquerors" — „Ostatni ze zwycięzców" opowiada o okupacji amerykańskiej w Niemczech. Młody żołnierz murzyński zostaje odkomenderowany do Berlina i ten pierwszy jego pobyt poza Ameryką jest dla niego jak wędrówka Alicji po krainie czarów. Odkrywa, że Niemcy są najwspanialszym krajem na świecie, że Berlin (ten zgruchotany Berlin) jest śliczny, a ludzie niemieccy poczciwi. Wszystko to dlatego, że po raz pierwszy w życiu czuje się człowiekiem, takim jak inni: przyjmują go w niemieckich domach, wyleguje się na plaży z niemieckimi dziewczętami, ma białą dziewczynę, która oświadcza, że go kocha. Żołnierze murzyńscy stacjonowani w Berlinie żyją w ciągłym strachu przed powrotem do Ameryki: zasmakowali w... demokracji. Dla Niemców są po prostu Amerykanami, a więc osobnikami o atrybutach pół-bogów, w postaci bogatych zapasów kawy, papierosów i czekolady. Zresztą — dodajmy z własnych doświadczeń — propaganda hitlerowska odnosiła się do Murzynów sentymentalnie. Warto tutaj przypomnieć numer pewnego niemieckiego ilustrowanego pisma, zawierający na jednej stronie fotografie zlynczowanych Murzynów, a na drugiej fotografie z ghetta warszawskiego, wskazujące jak wspaniale, jak zamożnie żyją Żydzi pod niemiecką opieką. Numer ten oglądaliśmy w Warszawie bodaj w 1942 roku. Więc Niemcy, tak czy owak, wydają się murzyńskim żołnierzom znacznie bardziej ludzcy i zacni od amerykańskich białych współrodaków. Przyjaciel bohatera powieści, kiedy ma wracać do Ameryki, dezerteruje do strefy radzieckiej. Na ostrzeżenia przyjaciela, który uprzedza, że trudno mu będzie znaleźć pracę i że będzie musiał robić to samo, co robiłby w Ameryce — a więc kopać rowy, czy wykonywać inne podobne roboty — odpowiada, że nie o to chodzi — nie będzie go „paliło we wnątrzu" jak w Ameryce i będzie wiedział, że dostaje taką pracę, bo nie ma innej, a nie dlatego, że lepsze zawody są dla białych.

Dalsza akcja powieści: bohater zostaje przeniesiony z Berlina do Niemiec Zachodnich, z żalem żegna swoją drogą Ilse. Wkrótce jednak Ilse przekrada się do strefy amerykańskiej i odnajduje ukochanego. Ten, widząc, że jej uczucia są poważne, pozbywa się zastrzeżeń i odpłaca się jej miłością. Ilse chce wyjść za niego za mąż. Żołnierz jednak wie, że jest to niemożliwe. Opowiadał jej o wielkim samochodzie, jaki ma w Ameryce, o pięknym domu, w którym mieszka jego rodzina — to były kłamstwa. Myśli o maleńkim domku na brudnej uliczce, z wygódką w podwórzu, o karaluchach i pluskwach, o ojcu, który myje schody w domach białych ludzi za dwadzieścia dwa dolary tygodniowo i o swoich zarobkach siedemnastu dolarów tygodniowo za pracę u fotografa. Zresztą Murzyn nie ma prawa chodzić z białą kobietą. (Informacje o powieściopisarzu: William Gardner Smith, będąc na urlopie w Filadelfii został pobity za to, że szedł z dziewczyną, która była Murzynką, ale miała skórę tak jasną, że tłum wziął ją za białą). Małżeństwo więc jest niemożliwe. Tymczasem powstają komplikacje. Wychodzi rozkaz Eisenhowera nakazujący zwolnienie tych żołnierzy, którzy mieli choroby weneryczne, albo sprawy w sądzie wojskowym. W ramach tego rozkazu władze wojskowe starają się pozbyć możliwie największej ilości Murzynów — zredukować ich ilość z 20% do 10% amerykańskich sił zbrojnych („Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść"). Dokonuje się to w ten sposób, że wciąga się na listy również tych, którzy nigdy nie byli chorzy wenerycznie i nie mieli spraw w sądzie wojskowym. Zważmy, że Murzyni nie chcą powrotu do cywila, bo w wojsku są lepiej płatni i że ten rodzaj odwołania pozostawia piętno na całe życie — jest to zwolnienie z powodu krnąbrności, niesubordynacji i nieprzydatności do służby wojskowej. Przyjaciel bohatera, Murzyn Steve odmawia wypisywania w kancelarii tych krzywdzących list. Za to zostaje postawiony przed sądem wojskowym i skazany na 6 miesięcy więzienia. Wtedy wpada w szał, obezwładnia strażnika, zabija białego sierżanta, który był przyczyną jego skazania i na ciężarówce ucieka do strefy radzieckiej. W czasie strzelaniny bohater staje się świadkiem tchórzostwa białego kapitana, świadkiem niewygodnym, bo prokurator wojskowy jest zainteresowany przebiegiem zajścia. Kapitan proponuje bohaterowi wcześniejsze i bardzo wygodne zwolnienie z wojska, ze skierowaniem do uniwersytetu w Stanach (na podstawie tzw. G. I. Bill of Rights, tj. stypendiów dla byłych żołnierzy). Bohater nie chce się zgodzić. Nazajutrz dowiaduje się, że jest postawiony przez kapitana przed sąd za to, że nie było go w nocy w koszarach (dyscyplina nie była dotychczas zbyt surowa, jeżeli mógł spędzać wszystkie noce z Ilse). Nie ma więc rady, musi się zgodzić na propozycję kapitana, po czym następuje scena pożegnania z Ilse — przysięga, że za kilka miesięcy wróci do Niemiec na stałe, ale oboje w to nie wierzą.

Powieść ta nie jest dziełem wybitnym, trudno tego zresztą żądać od dwudziestoletniego pisarza. Cenna jest jednak w tej swojej naiwności i prawdomówności. Można z niej wysnuć następujące morały, czy spostrzeżenia:

1. Gadaj tu z takim. Każdy wie tylko to, co go boli. Z Niemiec, z Europy wynosi tylko jedno spostrzeżenie: że zacni ludzie, bo nie gnębią Murzynów.
2. Jeden z białych oficerów, wyjątkowo przyjazny dla Murzynów, po pijanemu mówi, że w jednym Hitler był wielki: że wyrżnął Żydów. To powiedzenie wywołuje jednak niemiły dreszcz u murzyńskich słuchaczy.
3. Military Police stara się tępić stosunki niemieckich dziewcząt z Murzynami, gdyż mimo, iż Niemcy są narodem pokonanym, obrażone jest poczucie „solidarności rasowej".

4. Książka jest pełna bezgranicznej goryczy i poczucia krzywdy. W Ameryce dotychczas jest rozpowszechnione mniemanie, że od słów do akcji jest bardzo daleko, a nawet, że słowa są lepszą klapą bezpieczeństwa, niż ich brak. Dlatego książka miała dobre recenzje i ukazała się również w wydaniu dwudziestopięciocentowym.

Wyspa na Pacyfiku

Inny i cięższy kaliber reprezentuje powieść „nowego Remarque'a Normana Mailera „The Naked and the Dead" — „Nadzy i umarli", przez szereg ostatnich miesięcy „best-seller" w Stanach Zjednoczonych. Pierwsza powieść dwudziestopięcioletniego autora, rodem z Brooklynu, z karierą życiową studenta Harvard, malarza pokojowego i żołnierza Na Pacyfiku. Jej siedemset stron czyta się jednym tchem w ciągłym napięciu, nie bez zaglądania jednak do słownika gwary, bo wszystkie dialogi odznaczają się dużą wynalazczością piętrowych przekleństw, stanowiących — jak wiadomo — matecznik każdego „argot", czy „slangu".

Cel tej powieści jest ambitny: pokazanie w klamrach wojennej akcji, nie tylko wojny — ale tego, co ją poprzedziło i co jest jej tłem — jednym słowem studium socjologiczne Ameryki. Cel ten zdaje się został spełniony i z książki można się nauczyć więcej, niż z „The American Democracy" Harolda Laskiego, czy innych tomów podobnego rodzaju.

Treścią są dzieje pewnego plutonu zwiadowczego, biorącego udział w inwazji wyspy Anapopei na Pacyfiku. Na wyspie tej ląduje sześć tysięcy ludzi pod dowództwem generała Cummingsa. Wyspa jest broniona przez pięć tysięcy Japończyków, pod wodzą generała Toyaku. Po wylądowaniu Amerykanów Japończycy wycofują się w głąb dżungli, na „linię Toyaku", opartą jednym skrzydłem o pasmo górskie, a drugim o morze. Długie miesiące trwa budowanie dróg w dżungli, podciąganie tyłów, wyrównywanie pozycyj, przy kontratakach Japończyków. Generał Cummings dochodzi wreszcie do wniosku, że przełamanie „linii Toyaku" będzie trudne bez równoczesnego ataku na japońskie tyły od strony morza. Stara się zdobyć kontrtorpedowiec, ale napotyka na przeszkody ze strony dowództwa. Opracowuje dwa plany: jeden z nich opiera się na pomocy wojennego okrętu, drugi na ataku na tyły przez pasmo górskie. Aby zbadać, czy przejście przez wąwóz w górach jest możliwe, wysyła patrol (właśnie nasz pluton zwiadowczy), który zostaje przewieziony morzem na drugą stronę wyspy i ma przejść przez dżunglę i przez góry. Tymczasem wszystko odbywa się zupełnie inaczej: artyleryjski ogień Amerykanów jest tak silny, że rozwala w proszek „linię Toyaku", Amerykanie, zdumieni małym oporem, w jeden dzień forsują front, okręt wojenny przychodzi, już właściwie niepotrzebnie, chociaż w historii wojny będzie się mówiło o tej operacji jako o kombinowanej, lądowo-morskiej. Japończycy, zresztą jak się okazało wycieńczeni i pozbawieni żywności, zostają dosłownie wycięci w pień, a niebezpieczne zadanie patrolu okazuje się niepotrzebne. Tyle ogólnych ram akcji. W tym wszystkim ważni jednak są przede wszystkim ludzie uwikłani w te sprawy. Co kilkadziesiąt stron Mailer umieszcza rozdziały zatytułowane „Time machine", czyli „Maszyna czasu". W tych rozdziałach podaje sceny z życia swoich postaci przed wojną, budując w ten sposób kompletne biografie. Na książkę więc składa się jakby szereg powieści, połączonych ze sobą przygodami plutonu, złożonego z osób, z których każda jest równorzędnym bohaterem.

Jeżeli była mowa o socjologicznym charakterze książki, to wyraża się on właśnie w tym sięgnięciu wstecz i określeniu zachowania się każdej jednostki zgodnie z jej pochodzeniem i dotychczasowym życiem. Tutaj różnica pomiędzy filozofią Mailera i filozofią wojny, jako kataklizmu, przed którym i po którym ludzie są „normalni". Oczywiście, wspólną cechą postaci Mailera jest strach przed śmiercią, pokazany jaskrawo i realistycznie. Najdzielniejsi nawet boją się i nie ma w książce bohaterów-monolitów. W opisach akcji bojowej powieść jest właściwie analizą uczucia strachu i rodzajów jego przezwyciężania (albo nieprzezwyciężania). Drugą cechą jest brak religii. Jak wiadomo w Ameryce, pomimo istnienia rozlicznych i potężnych kościołów, nastąpiła w masach ludowych całkowita niemal atrofia uczuć religijnych. Cywilizacja przemysłowa i swoboda wyznań dały radę religii znacznie skuteczniej, niż jakiekolwiek prześladowania, zostawiając bogatą fasadę pewnego obyczajowego rytuału, całkowicie niemal pustą wewnątrz. Religia pojawia się u niektórych postaci Mailera jako pewna skłonność do przesądów magicznych, jak obawa przed trzynastką, przed złym znakiem itp. — jest więc w kategorii obyczajowej. Nie jest to jednak skutek wojennego „zdziczenia", czy „załamania się wartości", bo wojna, będąca po prostu nowym gatunkiem pracy, wchodzi dość gładko w przedwojenne przyzwyczajenia. Trzecią cechą jest brak jakichkolwiek motywów ideologicznych. Dla oficerów wojna jest na ogół sprawą kariery, dla żołnierzy czasową robotą, którą się przeklina. Nikt nie interesuje się możliwością przegranej czy wygranej, to nie wchodzi zupełnie w rachubę — Ameryka jest poza zasięgiem takich pojęć, ona nie prowadzi wojen, najwyżej przeprowadza operacje i to w dodatku na odległych morzach, wyspach i kontynentach. Czwartą wreszcie i najważniejszą cechą jest ambicja osobista, stanowiąca klucz do tych charakterów. Ktoś mógłby tutaj powiedzieć, że ambicja jest kluczem do charakterów w ogóle. Tak, ale nigdzie nie jest ona prywatna w tym stopniu co w Ameryce, której budowla opiera się na marzeniu jednostek: jestem niczym, ale będę czymś, muszę być czymś. Ponieważ to się rzadko udaje i maszyna ustroju rzuca ludzi seriami w gotowe przegródki, marzenie karmi się goryczą, jątrzy się, przekształca się w to, co nazywa się „frustration" — w ciągłe poczucie zmarnowania i upływu życia, które nie przynosi nic z tego, co przynieść powinno.

Ponieważ słowo „Amerykanin" oznacza w Europie pojęcie mitologiczne, nie od rzeczy będzie rozbić to słowo na składniki pierwsze i pokazać co ono oznacza w pewnym przykładowym kawałku rzeczywistości, tutaj w książce Mailera. Oto nasz pluton:

Croft. Dowódca plutonu, sierżant Cowboy z Texasu. Dobry i doświadczony żołnierz, z darem nieomylnej orientacji w dżungli i w górach — nic dziwnego, całe jego przedwojenne życie upłynęło na polowaniu i uganianiu konno. Stuprocentowy sadysta — żyje w stanie ciągłego nienasycenia, wyładowuje się uczuciowo, zabijając. Kiedy bierze do niewoli Japończyka i ten czołga się przed nim błagając o darowanie życia — Croft daje mu czekoladę, zapala mu papierosa i strzela do niego dopiero w chwili, kiedy Japończyk, odprężony nerwowo, zaciąga się dymem. Z tym sadyzmem rzecz jednak nie taka prosta. Croft, wysłany z patrolem, widzi z bliska szczyt góry Anaka wysoko nad dżunglą w słońcu i budzi się w nim potężna namiętność. Zabijanie ludzi jest zbyt małą podnietą, w porównaniu z tym górskim szczytem, który go wyzywa. Croft postanawia wejść z patrolem na szczyt góry, mając na zewnątrz ten argument, że wąwóz okazał się obsadzony przez Japończyków i jedynym sposobem wykonania rozkazu jest przejście przez szczyt górski. Na przeszkodzie tym planom stoi porucznik Hearn, który, stwierdziwszy niemożliwość sforsowania wąwozu, nakazuje odwrót. Croft wprowadza wtedy z zimną krwią porucznika w błąd (ma zresztą z nim pewne porachunki: nie może mu wybaczyć, że go kiedyś poniżył każąc przeprosić żołnierza) — w błąd co do pozycji Japończyków. Porucznik idąc na czele oddziału wpada w zasadzkę i zostaje zabity, a Croft prowadzi wtedy pluton na wspinaczkę po niebotycznej górze Anaku. Nie uznaje żadnej granicy swoich pragnień i zna tylko jedną zasadę etyczną: siebie. Powiada sobie: *„Nienawidzę wszelkiej rzeczy, która nie jest we mnie"*. Ma pogardę dla ludzi, wstręt do słabości i nie kocha niczego. Średniego wzrostu, z wąską, harmonijną twarzą bez wyrazu i z niebieskimi oczami mógłby być bohaterem filmów z Dzikiego Zachodu, jeżeli się pamięta, co jest ich właściwą, niesentymentalną treścią: dzikość, krwiożerczość i nieustępliwość plemienia jasnowłosych i szczupłych ludzi, którzy wytępili Indian i zawładnęli kontynentem. Mailer w postaci Crofta przedstawia groźną i typową amerykańską mieszankę: zupełnej wewnętrznej pustki i najwyższej zewnętrznej sprawności. Pluton, trzymany przez Crofta żelazną ręką, czuje do niego nienawiść.

Martinez. Syn ubogiej meksykańskiej rodziny z San Antonio w Texasie. Jego ambicje są określone przez pochodzenie. Meksykańczycy, zamieszkali wzdłuż południowej granicy Stanów i licznie napływający z Meksyku „na saksy" oficjalnie nie są uważani za „kolorowych", ale obyczajowo — tak. Wszelkie gatunki pracy, poza najcięższą pracą fizyczną, są dla nich w praktyce niedostępne. Dlatego szczytem marzeń Martineza jest spać z „białą protestancką dziewczyną" i po wojnie próbować uchodzić za „białego" Hiszpana. Są w tym na dnie głębokie urazy. Martinez w domu mówił po hiszpańsku, po angielsku uczył się dopiero w szkole. W dzieciństwie zdarzały mu się wypadki, kiedy przestraszony surową miną przełożonych, odpowiadał nie po angielsku, a po hiszpańsku. Poczucie niższości domaga się ciągle nowych kompensacyj. Martinez poszedł do wojska przed wojną „na zawodowego", bo nie miał co z sobą zrobić. Był doskonałym ordynansem oficerów, w czasie wojny dosłużył się podoficerskich naszywek za dzielność. Poczucie, że musi zasługiwać na honor pobytu w armii amerykańskiej jest dla niego bodźcem przezwyciężającym strach. Ten mistrz zwiadu boi się panicznie. Legenda o krwiożerczości Meksykańczyków też się nie sprawdza. Martinez zręcznie podrzyna nożem Japończykowi gardło, ale po długiej chwili zupełnej rozpaczy: jest na tyłach japońskich, włazi w ciemności na Japończyka przy karabinie maszynowym i nie może się wycofać, nie zwracając jego uwagi. Kiedy indziej rozbija kolbą czaszkę zabitego Japończyka i wyłupuje mu złote zęby — robi to z poczuciem winy i wstrętem, myśląc o tym, ile złoto jest warte w domu. Posłuszny, grzeczny, nie pozwalający sobie na luksus własnego zdania w żadnej sprawie, Martinez wie, że Croft rozmyślnie sprowadził śmierć porucznika Hearna. Croft jednak może być całkowicie pewien jego milczenia, bo ma na niego wpływ hipnotyczny.

Red. Nazwisko jego Valsen. Syn szwedzkiego górnika z małego miasteczka, które w całości należy do kopalni. Górnicy mieszkają w domach, które należą do koncernu, kupują w sklepach, które należą do koncernu, chodzą do knajpy, która należy do koncernu i do kościoła ufundowanego przez koncern. Tak więc ani cent z ich zarobków nie zostaje poza kasą kompanii. Jest w górniczych ośrodkach obyczaj, że po śmierci ojca, najstarszy syn idzie na jego miejsce. Kiedy ojciec Valsena ginie w wypadku w kopalni, Red ma czternaście lat i rozpoczyna pracę dorosłego górnika. Kiedy ma osiemnaście lat rają już mu szwedzką dziewczynę i życie jego upłynie tak, jak upłynęło jego ojcu. Red jednak nie poddaje się. Ucieka z miasteczka na szeroki świat, wierząc, że uda mu się zostać *czymś*. Nie udaje się. Red ima się wielu prac. Zmywa talerze, jest tragarzem, zjeżdża całą Amerykę jako tramp, jest dozorcą w domach noclegowych na Bowery w New Yorku — wszędzie na krótko, zawsze przecinający wszystkie węzły, byle nie osiąść i *nie akceptować*. Kiedy wybucha wojna, Red nie jest już pierwszej młodości, a z tego, co przeżył, zostało mu jedno: nienawiść do społeczeństwa, które go skrzywdziło. Obolały, podejrzliwy, mający na wszystko za odpowiedź tylko przekleństwo, nie dający się już na nic nabrać. Przy tym piękna postać szekspirowskiego zgorzkniałego mędrca. Jego etyka: nic nikomu nie być dłużnym, nikogo nie skrzywdzić, a oni niech mnie zostawią w spokoju. Valsen jest człowiekiem wielkiego kalibru — jego klęska jest miarą jego czystości i prawości. Nienawiść do życia i nienasycenie Valsena mają zupełnie inną treść niż u Crofta. Valsen nienawidzi życia dlatego, że jest ono podłe i małe, włącza w tę podłość i małość również siebie. Pragnienie jego nie jest przybrane w żadne konkretne kształty — jest już tylko czystą negacją.

Polack. Nazwisko jego zbyt trudne do wymówienia, brzmi: Kazimierz Czienwicz (pewnie skrót od Czerniewicz, czy coś w tym rodzaju). Urodził się w „slumsach" miasta Chicago. Miał kilkanaścioro rodzeństwa, w dzieciństwie nie znał co to spanie w łóżku — cały ten drobiazg sypiał pokotem na podłodze. Ojciec Kazimierza był robotnikiem w rzeźni. Kazimierza wychowała ulica i wcześnie nauczył się kraść. Przyłapany, został oddany do domu poprawczego, który był jego uniwersytetem. Po wyjściu z domu poprawczego pracował kilka lat w sklepie rzeźnickim, wreszcie szczęście się uśmiechnęło i został *kimś*. Spotkał mianowicie swojego starszego przyjaciela z domu dla młodocianych przestępców. Przyjaciel poszedł przez ten czas w górę — został szefem szajki gangsterskiej, prowadzącej przedsiębiorstwo loteryjne (loterie w Stanach są zakazane). Kazimierza przyjaciel mianował jednym ze swoich adiutantów. Odtąd portfel Kazimierza był pełen banknotów, nosił wspaniałe ubranie, rozbijał się wytwornym samochodem — ku zazdrości i grozie swojej po polsku mówiącej i katolickiej rodziny, której zresztą pomagał.

Po pewnym czasie przyjaciel zaproponował mu jeszcze bardziej intratne stanowisko — menadżera „Kabriskie Girls", tj. kierownika ukrytego domu publicznego, co było nielada zaszczytem, zważywszy na młody wiek. Kazimierz wahał się jednak — było w tym coś, jak cień moralnych skrupułów. Już był prawie zdecydowany, kiedy dostał powołanie do wojska. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie dać sobie przekłuć bębenków w uszach — znał takiego specjalistę, ale machnął ręką i poszedł do armii. Ten życiorys przypomina nieco życiorysy młodych Polaków chicagowskich, będące tematem naturalistycznej powieści „Never come morning" Nelsona Algrena — powieści, w porównaniu z którą „Dwadzieścia lat życia" Uniłowskiego wydaje się literaturą radosną, jak również niemal salonową.

Polack w wojsku czuje się znakomicie — niewygody życia w dżungli, spanie w błocie, wilgoć sprawiająca, że żołnierze nigdy nie mają na sobie suchego ubrania — wszystko to, co przeklinają jego koledzy, wydaje mu się głupstwem, jego dzieciństwo przyzwyczaiło go do niewygód. Jego filozofią jest cwaniactwo, naczelną zasadą: „Daj mi *coś*, a poruszę ziemię", — przy czym to co tłumaczę jako „coś" oznacza pomysł, chwyt, sztuczkę, klucz do sytuacji („gimmick"). Dla Polacka wszystkie rzeczy na niebie i ziemi są wielką „lipą", człowiek wśród tej lipy może poruszać się całkiem nieźle, jeżeli rozważa bystro i zimno i szybko wyciąga pożyteczne dla siebie wnioski. Umysł Kazimierza bez ustanku kombinuje i szuka w każdej rzeczy jej podszewki — *wiedzieć* o rzeczywistych motywach postępowania ludzi, wiedzieć więcej, niż oni oczekują i milczeć — to ważna zasada gangsterska. Cięty w języku, choć na ogół małomówny, celuje w bluźnierstwach. Zapytywany, czy sądzi, że Bóg istnieje, odpowiada: „Mogę powiedzieć tylko jedno — jeżeli istnieje, jest skurwysynem".

Brown. Przeciętny syn przeciętnego byznesmana. Dobre dzieciństwo, sporty, namiętność base-ballu i footballu, przejażdżki samochodem z „girl-friend" i pocałunki w aucie. Ojciec posyła go do uniwersytetu, po roku studiów Brown dochodzi do wniosku, że studia to strata czasu i że mógłby już od razu zarabiać. Zostaje byznesmanem, powodzi mu się nieźle, żeni się ze swoją szkolną miłością. Zainteresowania jego są znakomicie przeciętne — interesy i żona. Żona go zdradza i to jest treść jego myśli na wojnie: wyobraża ją sobie ciągle z innymi mężczyznami. Zresztą żołnierze rozmawiają głównie o kobietach. Brown nadaje tym rozmowom ton obolały, męczennika zazdrości.

Goldstein. Wytrwały, lojalny, cierpliwy. Pochodzi z Brooklynu, gdzie matka jego miała malutki sklepik. W dzieciństwie wstawał o świcie, roznosił dzienniki, później szedł do szkoły, po powrocie ze szkoły pomagał w sklepie. Po szkole powszechnej, kiedy jego rówieśnicy kształcili się dalej, Goldstein pracował w hurtowni obuwia, jako tragarz. Zakochał się w Natalie, która miała ukończony college i chciała zostać poetką. Matka jego była przeciwna wczesnemu małżeństwu, bo uważała, że będą cierpieć nędzę. Goldstein wyznaczył sobie rok czasu, zapisał się do szkoły spawaczy i uczył się po nocach, złożył egzaminy, ożenił się z Natalie, dostał posadę, urodził im się syn. Goldstein pisze codziennie listy do żony, otrzymuje też od żony ich pliki. Korespondencja ich dotyczy głównie planów na po wojnie, tj. własnej firmy spawarskiej, która jest ich marzeniem.

Goldstein ma religię — tą religią jest poczucie przynależności do narodu krzywdzonego i wybranego. Nie zapomniał wyśmiewań i ciosów, jakie dostawał w szkole za swoje pochodzenie, ani smutnych, filozoficznych i zbyt wtedy dla niego trudnych opowieści dziadka, który wiele widział i w Europie i po przyjeździe do Ameryki, gdzie był kupcem domokrążnym. Goldstein czuje się bardzo samotny w wojsku — nie ufa „goyim" i wie, że traktują go jak obcego. Drugi Żyd w plutonie, inteligent Roth szydzi, z wyżyny swojej wiedzy, z poczucia żydowskiej odrębności, jakie ma Goldstein. Goldstein jednak wie, że tamten nie ma racji. Ta religia Goldsteina jest źródłem jego siły. Czterech żołnierzy patrolu zostaje odkomenderowanych do niesienia na noszach rannego w brzuch Wilsona. Wilson jest olbrzymi, a z głębi wyspy do morza jest dziesiątki mil po górach w tropikalnym słońcu. Jeden z żołnierzy ustaje, drugi udaje, że nidleje, zostaje tylko dwóch — Goldstein i prymitywny chłop o sile wołu, Ridges. Są tak wyczerpani, że padają co kilka metrów, ich ręce są krwawą masą. Goldstein wie, że musi iść dalej, kiedy ustaje, powtarza sobie: „Izrael jest sercem narodów". Są już blisko morza, kiedy Wilson umiera, a ciało jego gubią przeprawiając się przez wodospad w dżungli. Z całego parodniowego wysiłku zostaje tylko milcząca przyjaźń z Ridgesem. Goldstein myśli z goryczą, że ze wszystkich „goyim" przyjacielem jego musiał zostać najciemniejszy, najbardziej prymitywny, chłop, „sól ziemi".

Ridges. Syn „połownika" z Południa, tej najuboższej rolniczej warstwy w Stanach Zjednoczonych. Ledwie piśmienny, znający tylko sprawy gleby i urodzaju. Jego pogląd na świat jest religijno-magiczny, obraca się wokoło pomyślnych i niepomyślnych zbiorów, zsyłanych przez Boga, jako kara za grzechy, albo nagroda. Obok Goldsteina jest jedynym z żołnierzy o pewnej aktywnej moralności. Porusza się w ramach przepisanych tradycją obowiązków. Próbuje nawrócić konającego i nieprzytomnego Wilsona, czemu Goldstein przygląda się ze zdumieniem.

Wilson, czyli bujność życia. Szeroka natura, żyje z dnia na dzień, nie troszcząc się o pieniądze, które natychmiast po zarobieniu przepija, nie troszcząc się zresztą o nic na świecie — pozbawiony jakichś stałych dążeń, czy obowiązków. Robotnik, pochodzi z Południa. Poza dumą ze swojej sprawności w miłosnej robocie i z dobrego pijackiego spustu, ma dumę z powodu swego drygu do maszyn — umie rozłożyć i złożyć na powrót każdą, nawet najbardziej skomplikowaną maszynerię, ale to samouctwo — nigdy nie miał okazji się kształcić. To jest jego zawiedziona ambicja. Obojętny na przyzwoitość i zasady. Ożenił się po pijanemu z kurewką, która okazała się bardzo dobrą żoną, to mu nie przeszkadzało używać z innymi kobietami. Nie troszczył się też nigdy o swoje zdrowie. Ma źle zaleczony syfilis. Jednym słowem typ ludowy z południowych Stanów, tak często przedstawiany w powieściach amerykańskich. Można się domyślać, że tacy właśnie ludzie lynczują Murzynów (i sypiają z Murzynkami), nie z przyrodzonej złości, ale ze zbrodniczego stadnego impulsu. Wilson lubi gromadę, jest przyjacielski, dobry kompan do wypitki i do wybitki.

Gallagher, czyli „rewolucjonista na odwrót", jak nazywa go Mailer, Irlandczyk z Bostonu. Ten proletariusz ma od wczesnej młodości złość do świata. Pracować i spędzić życie tak jak jego ojciec, jako kierowca ciężarówki, to mu nie wystarcza. Świat jest podle urządzony — ktoś temu musi być winien, na kimś trzeba złość wyładować. Będąc chłopcem Gallagher bierze udział w bójkach ulicznych między bandami irlandzkimi i żydowskimi. Później należy do bojówki pewnej organizacji pod nazwą „Christians United", która przygotowuje wielką akcję oczyszczenia Ameryki z Żydów i komunistów. Kiedy się żeni, żona zabrania mu należenia do bojówki, zresztą organizacja przycicha, bo zbliża się wojna pod innymi hasłami. Gallaghera stale coś jątrzy — życie rodzinne nie jest dla niego dostatecznym wyładowaniem. Na wyspie Anapopei jest postacią tragiczną: dostaje wiadomość o śmierci żony, która umarła w połogu. Ponieważ poczta dociera na wyspę z dużym opóźnieniem, Gallagher otrzymuje nadal listy od martwej żony, aż po ostatni list, pisany na dzień przed rozwiązaniem — fakt, że jest to ostatni list, jest dla niego cięższym jeszcze przeżyciem, niż sama abstrakcyjna wiadomość o śmierci.

Roth. Z uniwersyteckim wykształceniem, które zresztą nic mu nie dało, bo nie mógł znaleźć w swoim zawodzie pracy. Przypadkowo odkomenderowany do plutonu zwiadowczego z roboty kancelaryjnej, słaby fizycznie, nie zżywa się z resztą plutonu. Uważa się za wyższego umysłowo, przemawia pompatycznie. Ginie spadając w przepaść na niebezpiecznym zboczu góry Anaka. Bezpośrednią przyczyną jego śmierci jest Gallagher. Roth nie uważa się za Żyda. Kiedy ustaje, pada i nie może iść dalej, Gallagher uderza go i przezywa obelżywie. Ta nagła zniewaga, jaką jest przypomnienie jego żydowskości, podrywa Rotha do wysiłku, skutkiem jest spadnięcie w przepaść.

Minetta. Z włoskiej rodziny, która się dorobiła, przyzwyczajony do wygodnego życia, Minetta cierpi w wojsku i stale przemyśla nad sposobami wykręcania się. Największy szacunek czuje dla spryciarza i kombinatora Polacka, ale próby własnego sprytu niezbyt mu się udają. Lekko ranny symuluje obłęd, z tym tylko wynikiem, że po kilku dniach doktór mówi mu, że może dosyć tej komedii. Minetta hoduje jedno marzenie: jakby to było ładnie postrzelić się w nogę i pójść do domu. Przedmiotem jego i nie tylko jego zazdrości, jest drugi Włoch w plutonie, Toglio, któremu kula strzaskała łokieć: to się nazywa mieć szczęście.

Porucznik Hearn. Jedyny syn wielkiego fabrykanta z Chicago, przeznaczony do wielkiej przemysłowej kariery, Hearn pod wpływem idei lewicowych buntuje się przeciwko swojej klasie i zrywa z domem. Studiuje w Harvard, najpierw medycynę, później literaturę, zarabia w różny sposób, jest kolejno kelnerem, redaktorem, lektorem firmy wydawniczej, działaczem związków zawodowych. Liberał z sympatiami i przyjaźniami w kołach marksistowskich, dość typowy przedstawiciel zmiennych nastrojów nowojorskiej bohemy. Jest pewne pokrewieństwo pomiędzy nim i zgorzkniałym Valsenem: to samo poczucie, że wszystko cokolwiek się robi, jest małe, podłe i niegodne, to samo oderwanie, patrzenie na siebie z dystansu. Dla Hearna jego życie jest czymś nierzeczywistym, nie umie z ludźmi nawiązać kontaktu, są dla niego również nierzeczywiści. Przy tym dobry żołnierz i dobry dowódca. Zabłąkanie Hearna wyraża się w kontaktach zarówno z oficerami, jak żołnierzami. Ma nienawiść i pogardę dla klasy, z której wywodzą się wyżsi oficerowie, równocześnie jest zafascynowany postacią generała Cummingsa, „silnego człowieka". Jest z początku ulubieńcem generała, który odkrywa przed nim swoje poglądy. Wkrótce jednak ta fascynacja przemienia się w nienawiść. Są po temu rozliczne powody, pośród nich wspomnijmy o dwóch: generał zręcznymi posunięciami wpaja w Hearna przekonanie, że ten, chcąc nie chcąc, należy do klasy panującej i jest z nią solidarny. Do tego Hearn nie chce się przed sobą przyznać. Po wtóre, generał niszczy złudzenia Hearna co do postępowych celów wojny. Hearn daje upust swojej nienawiści do generała i „za karę" zostaje mianowany dowódcą plutonu zwiadowczego, wysłanego na niebezpieczny patrol, z czego jest zresztą zadowolony. Śmierć ma łatwą i szybką. Próby przełamania dystansu pomiędzy nim i żołnierzami nie udawały się również. Żołnierze traktowali go nieufnie, bo był oficerem, poza tym byli pod wpływem Crofta — trzymanie z oficerem byłoby narażeniem się Croftowi.

General Cummings. Jest świadomym faszystą. Druga wojna światowa jest według niego niedużym ćwiczeniem, mającym wyzwolić drzemiącą w Ameryce „energię kinetyczną". Idee Hitlera są zdrowe, jednak faszyzm niemiecki powstał w niewłaściwym kraju i dlatego musi ulec zniszczeniu. Nie pozbawione również słuszności jest według niego twierdzenie Hitlera o „germańskim tysiącleciu" — Hitler myli się tylko przypisując Niemcom rolę kierowniczą, bo Niemcy zostaną zdruzgotane. Jednak epoka, która idzie będzie epoką reakcji i strachu. Reakcji — bo tylko ona w Ameryce reprezentuje siłę, strachu — bo człowiek nie lubi poddawać się panowaniu maszyny i czuje się wtedy nieszczęśliwy. Według Cummingsa bitność jakiejś armii jest proporcjonalna do sumy nienawiści nagromadzonej w danym kraju. Nienawiść jest najtrwalszym cementem. Dlatego nienawiść należy podsycać i umiejętnie pielęgnować, zwłaszcza w wojsku — wyładowanie jej następuje na nieprzyjacielu.

Cummings ten „silny człowiek", jest, jak tylu „silnych ludzi", właściwie galaretą okrytą pancerzem. Ojciec jego, wzbogacony kupiec z Middle Westu, oddał go w dzieciństwie do szkoły kadetów, bo zauważył, że chłopiec jest przesubtelniony i zniewieściały, czemu winien był wpływ matki, córki bostońskiego patrycjatu, żyjącej literaturą i malarstwem. Wyszedłszy ze szkoły kadetów Cummings, któremu imponuje arystokracja, żeni się ze swoją bostońską kuzynką. Bierze udział w I wojnie światowej, jako młody oficer, potem szybko wspina się po szczeblach kariery. Poważną siłą napędową jest świadomość, że ma żonę sukę, która puszcza się na prawo i na lewo. Ponure zamknięcie się w sobie Cummings zużywa do walki o władzę. Spokrewnienie, poprzez małżeństwo z bostońskim klanem, daje mu poważne atuty. W czasie wojny hiszpańskiej koła te wysyłają go w delikatnej misji do Europy: w Paryżu skutecznie zabiega nad nawiązaniem kontaktów pomiędzy pewnymi fabrykami francuskimi i koncernami Ameryki. Inwestycje, które reprezentuje, mają drobny warunek: kupienia przez przedsiębiorstwa francuskie odpowiedniej liczby głosów w parlamencie przeciwko pomocy dla ludowej Hiszpanii.

Cóż to za moda, ktoś może powie, streszczać książkę. Na obronę streszczenia można powiedzieć, że wychodzi ono ze zdrowego założenia, iż książka (chociażby z powodu jej grubości) nie zostanie na polski przełożona. Po wtóre, streszczenie jest czasem równocześnie omówieniem i krytyką, ponieważ wydobywając pewne szczegóły, a inne pozostawiając w cieniu, podaje geometryczny zarys książki. Ten zarys został podany uczciwie, nie jest wynalazkiem autora artykułu, gwoli taniego wieszania psów na Ameryce. Odpowiada on intencjom Mailera. Zważmy, że jego to zamiarem było dokonanie przekroju — od mózgu maszynerii — Cummingsa, po wykonawcę — Crofta i narzędzia — pluton zwiadowczy. Niezupełnie przypadkowa jest też śmierć zbędnego liberała Hearna. Tak więc artykuł niniejszy jest próbą pokazania, jak patrzy na Amerykę pisarz amerykański z pokolenia, które, zebrawszy doświadczenia „powieści okrutnej", nie chce kontynuować dość taniego biologizmu Steinbecka i jemu podobnych, ani raczej trzeciorzędnej sensacyjności pisarzy typu Caldwella. Sądy nasze o tej powieści powinny być nieco zmodyfikowane przez świadomość, że siłą i słabością Mailera — jak i wielu innych pisarzy amerykańskich — jest pogrążenie bez reszty w Ameryce i brak skali porównawczej. Kto wie jednak, czy mając większą skalę porównawczą, potrafiłby być tak dokładnym i drobiazgowym portrecistą.

Jaki jest wydźwięk tej powieści? Jest to powieść, która demaskuje i, jako taka, nie może być pogodna. Celem Mailera był jednak raczej sam uchwyt za rzeczywistość, niż dawanie wskazań, jak w przyszłości potoczą się losy jego bohaterów. Mailer, czynny działacz partii Wallace'a, powiada w wywiadzie („Saturday Review of Literature", 12.II.1949): „Jeżeli człowiek ma do zakomunikowania pewne posłannictwo, da mu wyraz w ten, albo w inny sposób. Bezpośrednie wypowiadanie się jest błędem, bo nie wierzę, żeby poruszyło się w ten sposób jakieś góry. „Nadzy i Umarli" to antywojenna powieść. Napisałem ją nie dlatego, żeby poruszyć ludzi, ale dlatego, że chciałem ją napisać".

Żagarczyk

JAN SMUTEK

POŚCIG GWIAZD

To nie było zaćmienie słońca
obliczone przez zbrojny wyścig
ani zapowiedź świata końca
jak śpiewali bladzi psalmiści
załamując bezbronne dłonie,
ale noc zagłady
czerwona
od ognia, który dotąd płonie
w ruinach i popiołach kona.
Noc niepogrzebana
i czarna
palona płomieniem ciemności.
Po niej przyszła zorza polarna
od Stalingradu, skąd pościg
gwiazd czerwonych szedł w stronę świtu
kierując salwy niegasnące.
I wystrzeliła jasność błękitów.
I wystąpiło słońce.

WIOSNA

Słyszę galop tych wiosen, co tabunem lat gnały.
Graniem kopyt dzwoniące, w śpiewie echa zuchwałym.

Słyszę tętent na stepie, jakby gnało sto koni,
Wiatr je smaga biczami i za nimi w ślad goni.

Gonią konie szalone, grzywy wieją rozwiane,
Chrapy ogniem rozdęte wyparskują z płuc pianę.

Wszystkie lecą w tę stronę, rytmem tętnią kopyta,
Słyszę wolność jak woła i za gardło mię chwyta.

Woła gromem huczącym i w porywach się pieni,
Rzuca kwiaty pod stopy, woła krzykiem zieleni.

Więc wybiegłem na drogę i upadłem bez słowa.
Tabun po mnie przeleciał, kopytami stratował.

20.IV—24.IV Międzynarodowy Kongres Obrony Pokoju zbiera się w Paryżu

JEAN BOULIER

Pamiętajmy o historii »Maine«

List do prezydenta Trumana pokrywa się milionami podpisów. Potrzeba nam tych milionów. List ten wyraża niezachwianą wolę Francuzów niebrania udziału, w żadnym wypadku i pod żadnym pozorem w wojnie agresywnej. Słuszność tego jest niezbita: wojna agresywna jest zbrodnią międzynarodową. Jeżeli wojnę tę nazywacie krucjatą, zbrodnia jest jeszcze ohydniejsza, ponieważ dodajecie do niej obłudę.

Dążąc do tej zbrodniczej wojny z użyciem bomb atomowych dopuszczacie się potwornego zamachu przeciw ludzkości. Każdy człowiek w obliczu tak nieludzkiej propozycji, choćby pochodziła ona od własnego rządu, powinien powiedzieć: nie. Tu właśnie zachodzi wypadek, kiedy dla przywrócenia Deklaracji Praw Człowieka „zryw rewolucyjny staje się najświętszym obowiązkiem".

Podpisanie paktu Atlantyckiego uwikła nas przez fatalne zazębianie się wypadków w sieć zobowiązań, które doprowadzą nas do tej zbrodni.

Według artykułu 5, sygnatariusze obowiązują się wystąpić natychmiast przeciwko agresorowi.

Artykuł 6 daje definicję agresji: „Każda zbrojna napaść przeciwko terytorium państw sygnatariuszy, przeciwko ich armiom okupacyjnym, znajdującym się poza tym terytorium, przeciwko ich okrętom i ich samolotom, na przestrzeni ograniczonej od południa przez Zwrotnik Raka".

Innymi słowy, wszędzie na północ od tej linii, gdzie tylko przytrafi się jakiś przypadek żołnierzowi Stanów Zjednoczonych, ich marynarzowi czy lotnikowi, powstanie kwestia, czy nie był on ofiarą agresji; my zaś będziemy musieli działać natychmiast.

Ponadto, ponieważ Pakt Atlantycki nie oznacza, według określenia Waltera Lippmana, przystąpienia do towarzystwa rozrywkowego, z jedynym obowiązkiem noszenia znaczka w butonierce, państwa sygnatariusze mają zebrać się w Londynie, aby przedyskutować zobowiązania strategiczne, które nakłada na nie podpisanie paktu. Przedstawiciele sztabów generalnych obok ministrów spraw zagranicznych wezmą udział w tych dziwnych rozmowach.

Jak się nas przekonuje ze wszystkich stron i we wszystkich tonacjach — jedynym celem paktu jest zapewnienie pokoju.

I już teraz rozpatruje się sposoby prowadzenia wojny, która na mocy paktu każdej chwili może wybuchnąć.

Podobna sprzeczność jest możliwa dlatego, że nikt nie może dokładnie określić, co to jest agresja, ani kto jest agresorem. Wojna z Abisynią rozpoczęła się „agresją" na Qual-Qual. Oczywiście w opinii faszystowskiej agresorem był Negus. Wojna toczyła się już dobrych parę miesięcy, kiedy geografowie ustalili, że Qual-Qual znajduje się głęboko w Abisynii.

W 1870, kiedy Bismarck przygotowywał wojnę przeciwko Francji i uznał, że właściwy moment nadszedł, sprowokowanie „agresji" francuskiej było już drobnostką.

W 1914, Niemcy uważały się za „zaatakowane" przez Rosję, którą zmusiły do mobilizacji, Rosja uważała się za „zaatakowaną" przez Austrię, która rzuciła się na sprowokowaną poprzednio Serbię. A my? Związani z Rosją zostaliśmy wciągnięci w ten piekielny krąg. Układ francusko-rosyjski, który miał nam zapewnić pokój, przyśpieszył tylko nasz udział w wojnie. Jaurès przewidział to; przepłacił to życiem.

Pakt Atlantycki wiąże nas ze Stanami Zjednoczonymi w chwili, kiedy przestają one być potęgą pacyfistyczną.

Nikt dzisiaj nie ma najmniejszych wątpliwości co do poważnego kryzysu, jaki już teraz zagraża Stanom Zjednoczonym, każdy powracający stamtąd jest pod wrażeniem psychozy wojennej, której ofiarą pada całe społeczeństwo amerykańskie.

„Nie dopuścimy do kryzysu — pisze „Life", pismo, które rozchodzi się w ogromnym nakładzie — zrobimy raczej wojnę".

Kryzys jest faktem. Utrata ogromnego rynku w Chinach, kurczenie się zasobów surowcowych na kontynencie amerykańskim, zubożenie klientów europejskich, pozbawionych dolarów, spadek cen produktów rolniczych, inflacja i wzrost cen towarów przemysłowych — oto jego elementy. Nic nie wskazuje na to, aby bieg rzeczy dał się odwrócić. Bezrobocie wzrasta...

Kryzys to dla Amerykanów koszmar straszniejszy od wojny. Prasa, znajdująca się w rękach ludzi interesu, nie przestaje odpowiedzialnością za kryzys obciążać Związek Radziecki i postęp komunizmu w świecie.

Mówicie, że rząd Stanów Zjednoczonych nie chce wojny? To jednak wcale nie dowodzi, że do niej nie dopuści.

Przypomnijmy historię krążownika „Maine".

W roku 1898 Stany Zjednoczone żywo interesowały się dwiema koloniami hiszpańskimi, z których jedna nazywała się Kuba, a druga Filipiny. Zainteresowanie to było, rzecz jasna, natury czysto ekonomicznej. Lecz materialne, kupieckie cele przykrywała wspaniała nadbudówka: nadbudówka krucjaty. Stany Zjednoczone chciały bić się za uwolnienie ludów Kuby i Filipin, uciskanych przez tyranię hiszpańską.

Historia ta w dziwny sposób przypomina dzisiejszą sytuację.

Stosunki między Hiszpanią i Stanami Zjednoczonymi z dnia na dzień stawały się bardziej napięte. Na Kubie i Filipinach doszło do rewolucji. Bezlitosne represje, jakimi odpowiedzieli Hiszpanie, wywołały oburzenie obywateli amerykańskich, namiętnie zakochanych w wolności, wstrząśniętych do głębi okrucieństwami, które — można by powiedzieć — były pierwszą zapowiedzią wyczynów generała Franco.

W tej sytuacji krążownik amerykański „Maine" zarzucił kotwicę w porcie Havana. Zwykła wizyta przyjacielska, jak ta, którą złożył krążownik „Missouri" kilka miesięcy temu w Konstantynopolu. Ale — znowu historia podobna, jak z „Missouri" — wizyta się przedłużyła i wtedy mogły się zdarzyć rzeczy nieprzewidziane.

16 sierpnia 1898, na skutek tajemniczej eksplozji krążownik „Maine" zatonął w przeciągu kilku minut. Z jednego krańca Stanów Zjednoczonych na drugi podniósł się krzyk zemsty w odpowiedzi na tę straszną zbrodnię. Wojna wybuchła natychmiast: „agresja" nie ulegała wątpliwości.

Po skończonej wojnie, kiedy Kuba i Filipiny przeszły pod protektorat Ameryki, wyłowiono wrak okrętu i zbadano uszkodzenia. Okazało się, że wypadek był rezultatem wewnętrznej eksplozji. Ale Hiszpania utraciła swoje kolonie.

Krążownik „Missouri" odbywa swój rejs koło cieśniny Dardanelskiej. Tego wymaga obrona interesów amerykańskich. Oby nie spotkał go żaden wypadek. W przeciwnym bowiem razie wojna wybuchnie niezwłocznie.

Na mocy Paktu Atlantyckiego.

I są jeszcze ludzie, którzy pytają, dlaczego odmawiamy prawa podpisania tego paktu rządowi francuskiemu, jeżeli jest francuski i jeżeli chce pokoju.

Jean Boulier

WIERA INBER

Duch kochającego wolność Paryża

O Francji, szczególnie o Paryżu, napisano bardzo wiele.

Miał swój udział w tej pracy i Harold Nikolson, poseł do parlamentu i pisarz współczesnej Anglii. Był on sekretarzem angielskiej delegacji na konferencji pokojowej po pierwszej wojnie światowej, po czym wydał książkę pod tytułem „Jak robiono pokój w r. 1919".

W jednym z rozdziałów tej książki podana jest „charakterystyka" Paryża. Pozwolę sobie ją zacytować:

„Uczciwie zdobyta powaga, hodowana w Akademii Nieśmiertelnych; połączona z lekkomyślnością powaga, wiejąca z kiosków bukinistów koło Odeonu; tradycyjna powaga utrwalona na odludnych trotuarach rue de Lille; stateczność domowego ogniska, promieniująca z małych domków w Passy albo Auteil.

Jak przystoi skłonnemu do analizy Brytyjczykowi, Nikolson wyliczył wszystkie odkryte przez siebie „powagi" Paryża, rozmieszczając je według ulic i rejonów. Ale ta „geografia" miasta jest powierzchowna i przypadkowa. I dawniej zupełnie nie odpowiadając rzeczywistości, dziś tym bardziej nie ma z nią nic wspólnego.

W Paryżu można odnaleźć tę powagę, ale nie zobaczy się jej z eleganckich limuzyn, ani z luksusowych hoteli. Ta powaga zrodzona w dniach Francuskiej Rewolucji dotrwała do tej pory.

W czasie drugiej wojny światowej ta opierająca się czasowi wewnętrzna powaga dała o sobie znać ruchem oporu przeciw faszystowskim zaborcom.

Teraz, w ogniu „zimnej wojny" powaga francuskiego narodu konsoliduje w walce o pokój wszystkie postępowe siły Francji, ujawniając manewry podżegaczy wojennych, nie szczędząc sił, aby nie dopuścić do światowej rzezi.

Trzydziestotysięcznej rzeszy kobiet demonstrujących w dniu 8 marca rząd zakazał przejścia głównymi ulicami Paryża. Demonstracja i wiec odbyły się na podmiejskim stadionie Buffalo.

Przemawiając na tym wiecu przedstawicielka związku zawodowego metalowców Olga Tournad oświadczyła, że francuscy robotnicy chcą produkować traktory a nie czołgi, maszyny do szycia a nie karabiny maszynowe, wagony kolejowe a nie armaty. Chcemy pracować dla życia a nie dla śmierci — zakończyła Olga Tournad.

„Przyłączamy się do obozu pokoju", — oświadczyła Noel Chambrun, sekretarz ugrupowania postępowych katolików.

„Powinniśmy działać i dołożyć wszystkich sił, żeby wygrać bitwę o pokój" — powiedział przewodniczący organizacji „Bojowników Pokoju i Wolności" Ives Farge.

„Nigdy matki francuskie nie oddadzą swych synów na wojnę przeciw Związkowi Radzieckiemu — te słowa są własnością Janette Vermersh.

Trzeciego marca w Paryżu na wiecu w Zimowym Welodromie w obecności pięćdziesięciu tysięcy uczestników wiecu przemówił Maurice Thorez.

„...Nic nie może nam przeszkodzić w wypełnianiu naszego obowiązku, nic nie może przeszkodzić narodowi francuskiemu, mężczyznom i kobietom, młodzieży i starcom, robotnikom i chłopom, inteligencji, całemu narodowi zjednoczyć się w działaniu, które by uratowało świat przed zagrożeniem".

Wskazując na to, że reakcja, że inspiratorzy Związku Zachodniego starają się narzucić Francji wojnę z krajem socjalizmu, ze Związkiem Radzieckim. Thorez oświadczył: Ale naród francuski mówi wam: Nie, nie i nie.

Huragan oklasków zagłuszył te słowa.

To był duch Paryża, duch niezależnej, kochającej wolność Francji.

Nikolson opisuje intelektualną powagę Paryża — „cień ręki na firance w oknie paryskiego mieszkania, kiedy jego właściciel sięga na górną półkę swej biblioteki".

Nie, powagi francuskiej inteligencji wcale nie wyczerpuje ten idylicznie pasywny gest.

Paul Eluard, Louis Aragon, Jean Cassou, ksiądz Boulier, Vercors, pani Eugenie Cotton i wielu, wielu innych przedstawicieli francuskiej inteligencji nie tylko zdejmuje książki z półek swych bibliotek. Ci ludzie sami piszą stronice, pełne gniewnego protestu przeciw rozkładowej działalności drapieżnych łupieżców, którzy na cześć dolara, planują nową wojnę. Ich podpisy znajdują się pod odezwą Tymczasowego Komitetu Narodowego pracowników kultury we Francji do francuskiej inteligencji.

W odezwie tej czytamy: „Tymczasowy Komitet Narodowy stwierdza, że niebezpieczeństwo wojny może być uchylone dzięki wzmagającej się woli narodów i że wszędzie, a więc i u nas, we Francji, rośnie świadomość tego niebezpieczeństwa i wola obrony cywilizacji".

Ta wola obrony cywilizacji przejawia się we Francji co dzień.

Wieczorem 16 lutego mieszkańcy IX okręgu w Paryżu na wezwanie organizacji „Bojowników Pokoju i Wolności" urządzili demonstrację przy księgarniach sprzedających antyradziecką, faszystowską literaturę.

Francuzi i Francuzki są oburzeni tym, że wystawy księgarń profanuje nic dobrego nie wróżąca tandeta literackich gangsterów. Na żądanie demonstrujących faszystowska literatura została z wystaw usunięta.

Demonstracja w obronie postępowej książki!... To wcale nie przypomina kameralnego gestu przy półce z książkami za spokojem firanki!

Wszystko co jest najlepsze we Francji walczy o pokój. Wszystkie żywotne siły francuskiego narodu przeciwstawiają się próbom rozdmuchania pożaru nowej wojny. Metalowcy z Batignoles, studenci Sorbony, górnicy z Pas de Calais, komunistyczne organizacje Clichy, kopacze z Ivry — wszyscy organizują się dla obrony pokoju.

Mimo wściekłości usiłujących przeciwdziałać władz „zeszyty pokoju" zapełniają się dziesiątkami tysięcy podpisów. „Nie, nie i nie" — odpowiada naród francuski podżegaczom wojennym.

Ministra dla spraw kolonii Coste Florais obecnego na paradzie wojsk w Montpellier spotkało wrogie przyjęcie ze strony ludności, żądającej pokoju z Vietnamem.

Wzburzone masy wyglądały tak groźnie, że Coste Florais pośpiesznie skrył się w samochodzie i odjechał osłaniany przez zmotoryzowaną policję.

Wojna, którą rząd Henri Queille'a i Jules Mocha prowadzi od 2 lat przeciw demokratycznym siłom Vietnamu wywołuje oburzenie francuskiego narodu. Opinia publiczna Francji jest przeciwna tej wojnie. Francuzi powiadają: „Dość wojny, której przedłużenia chcą tylko kolonizatorzy i amerykańscy imperialiści". Francuzi powiadają: „Dość śmierci, dość miliardów, które giną w płomieniu tej wojny".

Wszystkie zresztą wysiłki francuskich reakcjonistów usiłujących zdławić wolnościowe dążenia Vietnamczyków ponoszą klęskę. Wielkie zwycięstwo narodu chińskiego, bohaterska walka patriotów Burmy, Malajów i Indochin jeszcze bardziej wzmacnia męstwo mieszkańców Vietnamu, ich wolę zwycięstwa. Jednocześnie z Indochinami wzmaga się i demokratyczny ruch we francuskich koloniach w Afryce.

W Afryce na rozżarzonym Wybrzeżu Kości Słoniowej, w Abidrzanie odbywa się drugi kongres „Demokratycznego Zjednoczenia Afryki", którego szeregi liczą więcej niż milion członków i miliony sympatyków.

Teraz w Paryżu, rękami sługusów Wall-Street zupełnie jawnie „robi się wojnę". Po asfalcie pędzą wspaniałe limuzyny dyplomatów. W lustrzanych drzwiach luksusowych hoteli odbijają się zadowolone twarze urzędników różnych ministerstw amerykańskich ludzi interesu, apostołów polityki atomowej...

Ale to jest jeden obóz Francji. Jeden jej „brzeg".

A na drugim brzegu stoi — naród, z gniewem domagający się zawarcia pokoju z Vietnamem, Paryżanie, oczyszczający wystawy księgarń z faszystowskiej trucizny. Na drugim brzegu — stoją wszyscy ci, którzy podtrzymują wniosek o zwołanie wszechświatowego kongresu zwolenników pokoju: postępowa inteligencja francuska — pisarze, aktorzy, malarze, prawnicy, prości ludzie; naród francuski, który mówi podżegaczom wojennym: Nie, nie i nie.

Wiera Inber

EGON NAGANOWSKI

FAUST POTĘPIONY

Tomasz Mann napisał na emigracji, na której przebywa od chwili dojścia Hitlera do władzy, olbrzymią tetralogię powieściową o biblijnym Józefie, 500-stronicową „Lottę w Weimarze" i — między 68 a 71 rokiem życia — 800-stronicowego „Doktora Fausta", dalej wiele essayów literackich i prac publicystycznych, nie mówiąc o 55 antyhitlerowskich przemówieniach radiowych nadanych podczas wojny z Ameryki. Twórczość ta stała się w pokapitulacyjnych Niemczech przedmiotem gwałtownej dyskusji, pełnej hymnów pochwalnych, uwielbienia, żalów, pretensji, insynuacji i bezprzykładnych napaści. Nazywa się go chlubą narodu i dezerterem (bo nie chce wrócić do kraju), wzorem konsekwentnego antyhitlerowca i pozornym tylko wrogiem nazistów (bo w r. 1934 był rzekomo gotów pójść na kompromis z reżimem), wszechstronnym głębokim myślicielem i demagogiem (bo ostro i namiętnie krytykował Niemców), niezrównanym mistrzem słowa, natchnionym twórcą i wyśrubowanym cyzelatorem, mózgowym literatem (bo pisząc godną zazdrości niemczyzną nie zdaje w swych dziełach niczego na los przypadku).

Niektórymi z tych zarzutów zająłem się bliżej w obszernym artykule „Droga Tomasza Manna" („Odrodzenie" nr. 148), gdzie starałem się ukazać, jak autor „Buddenbrooków" doszedł w ciągu 50 z górą lat od panestetyzmu i apolityczności poprzez nacjonalizm a potem pacyfizm do czynnego antyfaszyzmu i demokracji, do stwierdzenia wreszcie — czego wtedy dostatecznie nie uwypukliłem, że nie można sobie wyobrazić przyszłości bez coraz pełniejszego wcielania socjalistycznych a nawet komunistycznych idei w życie. Obecnie pragnę ówczesne wnioski dotyczące ideologicznej ewolucji Manna skonfrontować z najnowszym, wspomnianym już dziełem powieściowym „Doktór Faust", które ukazało się przed rokiem u Bermanna-Fischera w Sztokholmie a pod koniec roku ubiegłego u Suhrkampa w Niemczech. Książka ta budzi szczególne zainteresowanie, ponieważ jest sumą literackich i psychologiczno-filozoficznych doświadczeń i przemyśleń długiego życia, oraz artystyczną transpozycją i kondensacją pewnego zespołu idei i dążeń, który w naszych oczach pod nazwą kultury mieszczańskiej schodzi z widowni dziejów.

„Doktór Faust Historia żywota niemieckiego kompozytora Adriana Leverkuehna, opowiedziana przez przyjaciela" przy ogromie i różnorodności treści, przy wielowarstwowej strukturze posiada stosunkowo nikłą fabułę. Przedstawia się ona w najogólniejszym zarysie następująco: Adrian Leverkuehn urodzony w r. 1885 jako syn protestanckiego bogatego chłopa, to niezwykle zdolny młody człowiek o nadmiernie rozwiniętym samokrytycyzmie, o bystrym, chłodnym umyśle, łączący chłód z niedorozwojem uczuciowym i zahamowaniem pod względem erotycznym. Początkowo studiuje teologię, by poświęcić się niebawem muzyce. W Lipsku dostaje się przypadkowo do domu publicznego. Zorientowawszy się, gdzie się znalazł, ucieka, lecz po roku wraca do podobnego przybytku w innej miejscowości, nie mogąc się pozbyć prześladującego go obrazu lipskiej prostytutki, którą nazywa potem w swych kompozycjach „heterą Esmeraldą". Ona to, prawdziwa kobieta fatalna, wysłannica piekieł, rzuca go faktycznie w ramiona chorej dziewczyny, Adrian zaś zupełnie świadomie, prawie z rozmysłem zaraża się syfilisem, przez co — według koncepcji autora — zostały stworzone zasadnicze przesłanki dla przeobrażenia się utalentowanego adepta muzyki w genialnego kompozytora. Ale siła twórcza wciąż jeszcze nie może się w pełni rozwinąć.

Dopiero po blisko 6 latach, gdy choroba poczyniła już dostateczne postępy, zjawia się średniowieczno-niemiecki diabeł, jako rzutowane na zewnątrz ucieleśnienie irracjonalnych, antyintelektualnych tendencji psychiki, wyzwolonych przez rozkład organizmu. „Twoja skłonność, przyjacielu, do ulegania obiektywizmowi, tzw. prawdzie, do pomiatania subiektywizmem, czystym przeżyciem jako czymś bezwartościowym, jest filisterska i godna przezwyciężenia" — tłumaczy Adrianowi diabeł. — „My dajemy coś lepszego, my dopiero dajemy to, co słuszne i prawdziwe... co archaiczne, pierwotne, już dawno niepraktykowane. Któż dziś wie jeszcze.. czym jest natchnienie, spontaniczny... nieosłabiony przez krytykę, powolny namysł i zabójcza kontrola rozumu, entuzjazm, święte zachwycenie?" I dalej: „To co cię podnosi, co pomnaża twoje poczucie władzy i siły, to jest, do diabła, prawdą — nawet, gdyby z punktu widzenia cnoty po stokroć uchodziło za kłamstwo". W końcu diabeł wskazuje Adrianowi taki oto kierunek rozwoju: „Nie dość, że przełamiesz hamujące trudności czasu — przełamiesz sam czas, epokę dzisiejszej kultury, chcę powiedzieć epokę kultury i jej kultu w ogóle i odważysz się na barbarzyństwo, którego nadejście jest po dwakroć pewne, bo nadejść musi po humanizmie, po... mieszczańskim przerafinowaniu". Adrian ulega, zawiera ostateczny pakt ze złem i za dodatkową cenę zupełnej samotności, rezygnacji z miłości do kogokolwiek z ludzi staje się na lat dwadzieścia twórcą symfonii i kantat najwyższej próby. Chwilami buntuje się, tęskni za kimś bliskim, lecz osobom, które chciał wbrew zakazowi pokochać, przynosi tylko nieszczęście i śmierć. Wreszcie skomponowawszy największe swe dzieło, pełną bólu i rozpaczy „Skargę Doktora Fausta" i złożywszy zgromadzonym przyjaciołom obłąkańczą spowiedź z całego życia, ulega atakowi paraliżu i odtąd żyje jeszcze w obłędzie lat 10, do r. 1940, jako żałosny strzęp bezdusznego, zniedołężniałego ciała.

Zasadniczy chwyt kompozycyjny polega w „Doktorze Fauście" na tym, że o tragicznym wzlocie i upadku Adriana Leverkuehna dowiadujemy się z relacji spisywanej rzekomo w latach 1943—1945 przez wiernego biografa dr. fil. Serenusa Zeitbloma, który rysując z pietyzmem portret zmarłego przyjaciela na tle wielu pomniejszych postaci, ich mentalności i sposobu reagowania na problemy epoki, przeplata swe wspomnienia aktualnymi uwagami i komentarzami na temat ostatniej fazy wojny i agonii III Rzeszy. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że przez symboliczny motyw Fausta i przepojenie niektórych partii dzieła teologicznym duchem Marcina Lutra, Mann nawiązał do niemieckiego średniowiecza i reformacji oraz, że życie Leverkuehna jest wyraźnym i symbolicznym odpowiednikiem dziejów narodu niemieckiego od cesarstwa do hitleryzmu, upadającego w oczach również symbolicznego Zeitbloma, to widzimy, iż zgodnie z tytułem, książka daje trojaką perspektywę czasową tego metafizycznego, historiozoficznego i psychologicznego problemu, jakim są dla autora Niemcy.

Wątek faustowski wywodzi się w „Doktorze Fauście" zarówno bezpośrednio ze starej wersji legendy, pochodzącej z r. 1507, jak też z „Fausta" Goethego. Dokładniejsze wykazanie zbieżności i różnic zachodzących między tymi ujęciami, zaprowadziłoby nas za daleko. Wystarczy zwrócić uwagę, że zarówno życie tzw. pra-Fausta, człowieka ze schyłku ery mieszczańskiej, kończy się w tragicznym odosobnieniu katastrofą, podczas gdy Faust Goethego przedziera się ku światu, ku społeczności, zdobywa po długim błądzeniu wiarę w sens wspólnego czynu, mającego odnowić i wyzwolić ludzkość, przez co zamyka nie tylko epokę dawną, lecz wkracza też w nową. „Faust" Goethego powstał w chwili, gdy mieszczaństwo było jeszcze postępowe i miało przed sobą rok 1848, „Doktór Faust" powstał w chwili, gdy wszedłszy w okres faszyzmu burżuazja skazała się tym samym na zagładę, pociągając za sobą cały naród, któremu przewodziła.

Przyczyn tego procesu przygotowującego się od kilkudziesięciu lat dopatrzył się Mann w zgubnym nawiązaniu do pewnych niebezpiecznych cech narodowego charakteru, drzemiących na dnie niemieckiej psychiki, a wyrażonych najlepiej w podaniu o Fauście. Dlatego właśnie wątek faustowski uznał za nader aktualny. „Tam, gdzie pycha intelektu łączy się z pierwotnością i zależnością duszy, tam jest diabeł — mówił w odczycie o „Niemczech i Niemcach" wygłoszonym w r. 1945 w Waszyngtonie — A diabeł, diabeł Lutra, diabeł Fausta, wydaje mi się bardzo niemiecką postacią, zaś zawieranie paktu z diabłem, zaprzedanie mu się, by kosztem zatracenia duszy choć na czas jakiś zdobyć wszystkie skarby i władzę nad światem — czymś dziwnie bliskim niemieckiemu usposobieniu. Czyż właśnie w tej chwili, właśnie dzisiaj, gdy Niemcy dosłownie diabli biorą, nie jest odpowiedni moment, by w samotnym myślicielu i badaczu, teologu i filozofie..., który dla zaspokojenia pragnień i osiągnięcia panowania nad światem oddał duszę, upatrywać wizerunek Niemiec"?

Chcąc uczynić z Leverkuehna sumę niemieckości Mann sięgnął nie tylko do zmodyfikowanej przez siebie postaci Fausta. Jeszcze bardziej jawny jest model inny, będący historycznym wcieleniem pełnego pychy i niesytych pragnień legendarnego doktora. Chodzi o Fryderyka Nietzschego, o którym Mann wyraził się w r. 1947 w odczycie wygłoszonym na kongresie PEN-Clubu w Zurychu: „Któż wreszcie był bardziej niemiecki od niego, kto Niemcom zademonstrował raz jeszcze to wszystko, przez co stali się nieszczęściem i postrachem dla świata i zniszczyli samych siebie...? Węzły łączące Leverkuehna z twórcą „Zaratustry" podkreślił autor w liście do Emila Preetoriusa (z marca 1948), gdzie nazwał „Doktora Fausta" między innymi i w dużej mierze powieścią o Nietzschem..." Nie ma tu oczywiście mowy o powieści biograficznej w zwykłym tego słowa znaczeniu, mimo, że cechy zewnętrzne, cechy charakteru oraz koleje życia i myśl mannowskiego kompozytora przypominają szczegóły z wizerunku i życia Nietzschego. Leverkuehn to Nietzsche, przeniesiony z filozofii do muzyki, to uosobienie dekadencko - prefaszystowskiej idei nietzscheanizmu, jej narodzin, rozwoju i upadku. I tak samo jak Mann — widać to z zuryskiego odczytu — odrzucając stanowczo niebezpieczne teorie dionizyjskiego filozofa oddaje zarazem hołd jego genialnemu duchowi i tragicznemu losowi, tak też Leverkuehn jest wytworem dwoistości uczuć, jest heroizacją potępionego i potępianego, lecz bliskiego sercu bohatera. Bliskiego sercu — nie tylko ponieważ reprezentuje do pewnego stopnia samego autora, autora z lat dawniejszych. W Leverkuehnie Mann wystawił pomnik Nietzschemu i zarazem go osądził, jako część własnej przeszłości, od której się z trudem uwalniał przez dziesiątki lat i do dziś zupełnie uwolnić nie zdołał. Cały „Doktór Faust" jest „osobliwym — mówiąc słowami autora z listu do Preetoriusa — rodzajem transponowanej biografii", w której najróżniejsze składniki zharmonizowane i stopione ze sobą dały w sumie nowy, artystycznie samoistny obraz rzeczywistości.

Twórczość Manna jest buzustannym podejmowaniem prób rozwiązania stosunku artysty do społeczeństwa. Ponieważ zaś w czasach, gdy Mann zaczął pisać, izolacja sztuki była już w dużym stopniu faktem dokonanym, szczególnie w mieszczańsko - kapitalistycznych Niemczech, wszelkie próby przebicia się do życia kończyły się fiaskiem. Stąd na wpół bolesna, na wpół wyniosła samotność Spinella z noweli „Tristan", Martiniego z powieści „Królewska Wysokość", Tonia Kroegera z noweli pod tymże tytułem, Aschenbacha z „Śmierci w Wenecji" i innych, stąd ich ucieczka w wewnętrzne anormalne światy, wzgl. w mistyczno - estetyczną krainę tzw. czystej sztuki. Z poczucia izolacji i nie dającego się mimo wszystko zagłuszyć pragnienia łączności z ogółem, wytworzyło się w pisarzach z okresu przed pierwszą wojną światową dekadenckie, głęboko pesymistyczne przeświadczenie, o chorobliwości kultury i sztuki jako takiej, o pochodzeniu geniuszu z antyżyciowych, ciemnych sił perwersji i obłędu. Między „wyższym", bo nienormalnym artystą, a „niższym", bo normalnym społeczeństwem otworzyła się przepaść nie do przebycia. Adrian Leverkuehn ze swym geniuszem wyzwolonym przez chorobę, ze swym samotnictwem i końcowym obłędem jest jednak nie tylko konsekwentniej i dokładniej narysowanym Kroegerem czy Aschenbachem, lecz również ukazaniem skutków, do których ich postawa życiowa doprowadziła.

Leverkuehn, tak jak Nietzsche, zbuntowany mieszczanin, który stanąwszy wyniośle poza dobrem i złem wyrzekł się obiektywnej prawdy dla zrealizowania egoistyczno-subiektywnych, duchowych zresztą, pot żądań, uległ procesowi wewnętrznej barbaryzacji, mimo że z zewnętrznym barbarzyństwem narodowego socjalizmu nie miał i nie mógł mieć

(Dokończenie na stronie siódmej)

JAN BRZECHWA

OPOWIEDZIAŁ DZIĘCIOŁ SOWIE

Ilustr. Ha-Ga i E. Lipiński

Wyd. II

str. 33

zł 400

ZOFIA DĄBKOWSKA

KRYZYS BOHATERA

„Król umarł"

Lewicowe pisma literackie na Zachodzie umieszczają dziesiątki recenzyj - nekrologów, obwieszczających światu, że pełen niegdyś chwały i zasług inteligent mieszczański — bohater powieści XIX i pierwszej połowy XX w — zakończył swój trudny żywot. Najwcześniejsze przejawy śmiertelnej choroby sięgają, jak to dziś jasno widać, już początków zeszłego stulecia.

Bodaj czy nie Stendhal pierwszy ukazał w postaci Juliana Sorela („Czerwone i czarne") — pęknięcia w mieszczańskim światopoglądzie, obnażył i zdefiniował rozbrat bohatera - inteligenta zarówno z najwyższymi warstwami burżuazji, jak z własnym najbliższym otoczeniem, ukazał przepaść między interesami jednostki a interesami społeczeństwa.

Bo chociaż klęskę Juliana Sorela przyśpieszył i pogłębił nawrót feudalizmu w okresie ponapoleońskiej Restauracji to jednak charakter i dążenia samego bohatera, jego umysłowość i sposób postępowania należą już całkowicie do świata młodej burżuazji.

Walka Sorela była to walka „programowo" bezideowa, agresywnie, arogancko egoistyczna. Jednostka wyrzekała się współżycia ze swą klasą, gdyż po pierwsze — „współżycie" w ogóle nie popłaca, po wtóre — klasa w społeczeństwie liberalno - burżuazyjnym, to skupisko wrogów; wreszcie — ze „społeczeństwa" (poddanego niesłychanie zjadliwej i destrukcyjnej krytyce) wyodrębniało drobnomieszczańskiego inteligenta poczucie własnej wyższości.

W drugiej połowie zeszłego stulecia siła i agresywność Juliana Sorela należy już do przeszłości. Nowy bohater mieszczański odcięty już jest od swej klasy i od swego narodu. Odsuwa się coraz bardziej od całego świata zewnętrznego; w wieży z kości słoniowej zamyka go już nie wygórowana pewność siebie, ale strach i świadoma siebie słabość.

Na powstanie tego rodzaju samopoczucia złożyło się wiele czynników. A więc przede wszystkim utrata przez Francję, ojczyznę powieści mieszczańskiej, przodującej roli w Europie. Od klęski Napoleona zaczyna się zstępowanie Francji z tych wyżyn, na które wyniosła ją młoda, rewolucyjna burżuazja. Energia klasy, która od czasów Ludwika XIV, poprzez Wielką Rewolucję, aż po koniec epopei napoleońskiej organizowała tytaniczne zwycięstwa i tytaniczne klęski, zaczęła się wyczerpywać i rozpraszać.

Dalej: fortuna i kariera były coraz jawniej monopolizowane przez bardzo niewielkie i ekskluzywne grupy. Walka o dobra doczesne — ongiś patos młodej burżuazji — nie wyzwala już możliwości twórczych ani śród uprzywilejowanych, ani śród upośledzonych. Pierwsi otrzymują je gratis — drogą spadku. Drudzy w ogóle stracili wszelką możność zdobycia bogactwa — i wiedzą o tym. Walka wszystkich przeciw wszystkim trwa dla nich dalej, lecz jest to już tylko bój o ochłapy. Zarówno pierwsi, jak drudzy dochodzą do tych samych stanów duchowych: nudy, pustki wewnętrznej.

Wiarę w osiągnięcie pełni rozwoju swych sił, w trwałość układu, którego część stanowili, poczucie **rzeczywistości** tego życia, które było **ich** życiem podrywały poza tym groźne wstrząsy 30, 48, 52, 71 roku. Potężny kret rył grunt, na którym urodzili się i wychowali.

Część odpowiedzialności za dalszy rozpad mieszczańskiego światopoglądu ponoszą naturaliści. Zola wprowadził inteligenta w odmienny świat, jednak to, co mu w tym świecie pokazał nie mogło wpłynąć pokrzepiająco. Były tu tylko nowe **rozproszone** fakty. Było mnóstwo z siłą, wielką plastyką i znajomością rzeczy narzuconych obrazów z dziedziny anatomii i statystyki. Tryby i kółka wielkiej machiny, miażdżającej człowieka, zostały rozłożone, przeliczone, opisane. Nie pokazano ich jednak w ruchu, nie uwydatniono połączeń i zahaczeń, nie wytknięto **kierunku** obrotów. Historia, a zwłaszcza przyszłość proletariatu nie zostały tu poddane badaniu. Z książek Zoli wieje groza, rozpacz i rezygnacja potężnego, lecz chaotycznego i niezrozumiałego świata, pogrążonego w wodzie równie mętnej **i stojącej**, jak ta, w której tonie świat mieszczańskiego inteligenta.

Stąd pogłębienie poczucia osamotnienia, niepewności i niepokoju. Mieszczański inteligent miotał się na wąskiej i jałowej przestrzeni pozostawionej mu przez naturalistów. Z jednej strony drogę ku pełni życia przegradzało mu kilka tysięcy prosperujących burżua — z drugiej miliony ludzi, od których go odpychała ich nędza i obcość.

Zniechęcenie, nuda, przedwczesna starość — skutek utraty perspektyw zarówno osobistych, jak społecznych, odrywają oczy mieszczańskiego inteligenta od doczesności i kierują je na „skarby wewnętrzne". Poprzez Musseta — omijając naturalistów z ich światem ciemnym i brutalnym — dochodzimy do Prousta.

Twórczość Prousta, to wytężone, trudne jasnowidzenie wspomnień, to z uporem i systematycznością maniaka przeprowadzane segregacje, rozszczepianie i kojarzenie różnych elementów reminiscencyj — to już praca przede wszystkim idealistyczna. Świat zewnętrzny, rzeczy, ludzie są tu tylko **pretekstami**, puszczającymi w ruch mechanizm psychiki, odseparowany od całego świata konstytucją psychiczną bohatera.

Od Prousta, od „jaźni" dekadentów, poprzez całą literaturę podświadomości rozwija się coraz subtelniejsza, coraz doskonalsza, coraz bardziej giętka i wszechwiedząca analiza. Dusza ludzka zostaje rozszczepiona na tysiące precyzyjnych preparatów mikroskopowych. Można tu oglądać cuda wyobraźni wnikliwości i dokładności. Trafiają się ciekawe odkrycia na obszarach mało, lub wcale dotąd nie zbadanych.

Ale jednocześnie bohater tej literatury zostaje wyrwany z konkretnego czasu i przestrzeni, pozbawiony historii i narodowości, rozbity na drobiny.

Człowiek, jako synteza klasy i jednostki, tradycji i indywidualnego doświadczenia, refleksji i czynu — przestaje istnieć.

I nie bez powodu... Synteza, jak wiadomo, powstaje w ruchu, w akcji. Mieszczaństwo pogrążone w stojącej wodzie biernego indywidualizmu mogło już tylko doskonalić analizę.

Strach pomyśleć, co z tym odizolowanym od przyrody i ludzkości inteligentem, z tą rozproszkowaną „jaźnią" zrobiła pierwsza wojna światowa.

Literatura „analityczna", o którą tu chodzi, zareagowała dwojako. Po pierwsze w ten sposób, że pogłębiając i doprowadzając do ostatecznych konsekwencyj tradycje przedwojenne zerwała ostatecznie z rzeczywistością i pogrążyła jak struś głowę w mroki podświadomości. Autorzy kierunku „potoku assocjacyj" i pokrewnych doskonalili dalej swe obserwacje, notując je przy pomocy nowej, wspaniale giętkiej techniki stenografowania pół i ćwierćtonów psychicznych.

Rozum już poprzednio zaniedbany, zostaje ostatecznie wzgardzony, nie widzi się w nim ani autodyscypliny panującej nad „jaźnią" i cementującej jej rozproszone człony, ani pomostu między zamkniętym w sobie życiem duchowym a rzeczywistością, ani siły przekształcającej przyrodę i społeczeństwo.

Analiza zaś psychiki ludzi wytrąconych z procesu wytwórczości, z procesu historii, pozbawionych jakichkolwiek związków z czymkolwiek i jakichkolwiek wpływów na cokolwiek; analiza negująca samą realność związków nie tylko zewnętrznych, ale i wewnętrznych (np. Joyce); jednym słowem skrajny indywidualizm dochodzący do skrajnych form idealizmu — musiał doprowadzić do poczucia nicości, osamotnienia, mistycznych lęków i potwornego zakłamania.

Pozornie tylko (nie ma tu miejsca na wykazanie wszystkich analogii i podobieństw) w sposób diametralnie różny zareagował na wojnę drugi odłam mieszczaństwa. Brutalna katastrofa kultury, z której przecież czerpano swe soki, przerażenie, rozpacz i oszołomienie (wywołane tym razem nie przez mistyczne bynajmniej „zwidy") dosłownie wykastrowały ludzi „straconego pokolenia". Nie darmo impotent staje się rozpowszechnionym symbolem pośród pisarzy owych czasów (np. Hemingwaya „Mieć albo nie mieć"). Miotła wojny wymiotła na czysto gromadzone od pół wieku skarby analizy. Z przerafinowanego, subtelnego dekadenta została tylko powłoka, forma, z której wypruto wszelką treść.

Mieszczańscy inteligenci, bohaterzy powieści autorów wszelkich narodowości odkryli nowy sposób samoobrony wobec narzuconego im koszmaru, zachowali tyle tylko życia, ile da się wyrazić techniką mniej lub bardziej beheviorystyczną: jedli, spali, oddychali, spółkowali, ale prawie nie operowali ludzkimi uczuciami i w minimalnym stopniu posługiwali się władzami umysłowymi. Samoobrona owadów — słabość, pustka, klęska.

Że były to ostatnie kroki na drodze ku dezagregacji bohatera (od zawieszenia go w pustce społecznej, oderwania od rzeczywistości, rozerwania więzów psychicznych, aż po zaprzeczenie prawdziwości, realności życia wewnętrznego), że był to jego upadek ostateczny — świadczy chociażby dzisiejszy egzystencjalizm.

Epigoni idealistycznej, mieszczańskiej analizy i spadkobiercy rozpaczy i cynizmu „straconego pokolenia" zmiażdżeni przez okupację, zdezorientowani i zgubieni w powojennym chaosie politycznym, doprowadzili rozpad światopoglądu bohatera do zatomizowanego, kołującego absurdu. Jest to nie tylko kres pewnego gatunku literackiego i śmierć pewnego bohatera. Jest to coś ponadto: jest to rozpad osobowości znacznego odłamu inteligentów Zachodu, dla których **ta** literatura i **ten** bohater byli zwierciadłem. Egocentryczny, idealistyczny **nadindywidualizm** prowadzi prostą drogą do zaniku właśnie **indywidualności.**

„Król umarł..." I żadne wysiłki, żadne eksperymenty nie zgalwanizują już trupa. Jakiekolwiek próby przeszczepienia bodaj oddzielnych jego mięśni, oddzielnych włókien do organizmu naszej powieści są z góry skazane na niepowodzenie. Większość pisarzy zdaje sobie sprawę z tego, że bohater Zachodu nie nadaje się do użytku krajowego chociażby dlatego, że jest w proszku, a następnie lub raczej przede wszyskim dlatego, że gdyby go nawet mozolnie zestawiono i zdrutowano, nic by po nim było robotnikom i chłopom.

Od rodzimej literatury przedwojennej nasi pisarze są odgrodzeni w tej chwili przez klęskę klas, których była tworem, przez załamanie się systemu.

W powieści sowieckiej ukształtował się już typ bohatera-robotnika, bohatera-chłopa. Od twórczego jednak zasymilowania tego wzoru dzieli nas jeszcze droga rozwoju ekonomiczno - społecznego prowadząca do socjalizmu.

Literat polski stanął tedy wobec konieczności stworzenia prototypów postaci, reprezentujących nowe siły twórcze historii i skomentowania dla nich sytuacji, odzwierciedlających nowy układ stosunków społecznych — z materiału będącego u nas na miejscu do dyspozycji.

Przeważnie powieściopisarze nasi zdają już sobie sprawę z tego, że muszą przede wszystkim odepchnąć się od klęsk literatury zachodniej, na której się w znacznej mierze wychowywali. A dalej, jak sądzę, pewną pomocą może służyć obfity surowiec, w którym prawzór człowieka wcielającego nasze twórcze „dziś" znajduje się w gotowej niemal postaci.

Chodzi mi tu o pamiętniki ludzi pracy. Niektóre z nich napłynęły do KCZZ w odpowiedzi na dwa ogłoszone konkursy, niektóre opowiadania — w większości wypadków również fragmenty pamiętników — zebrane zostały przez Polskie Radio drogą konkursu na nowelę radiową.

Materiały te, abstrahując od formy przeważnie nieudolnej, dają jednak wielostronny autoportret „bohatera naszych czasów". Dla przykładu będę się powoływać m. i. na autora pamiętnika, jak mi się wydaje, dosyć typowego — na Irenę Nieznaniec, z tym rzecz jasna z góry ustalonym zastrzeżeniem, że autor będzie nas w tym wypadku interesował nie jako twórca, artysta, nie jako podmiot literatury, ale jako jej przedmiot, jako nowy bohater nienapisanej dotąd powieści.

Bohater naszych czasów

Młoda, 20-letnia zaledwie w chwili wybuchu wojny robotnica poznańska, rozsądna i kochająca żona, oddana matka, dobra córka, uczynna siostra, żyła przez 5 lat okupacji tym mniej więcej życiem, jakim żyło w owych czasach prawie 80 proc. ludności. Jak wielu innych nie mogła „złapać kontaktu", nie należała do konspiracji, nie brała udziału w walce zbrojnej. Dzieje szare i niczym się nie wyróżniające, charakter pozbawiony wielkości, nie obdarzony ani niezłomną wolą, ani namiętną wiarą w swe przeznaczenie, ani rozmachem, ani nadmiarem inicjatywy.

A jednak ten charakter pospolity jest tak wielostronny — choć ujęty w ramy nieomylnie wybranych kryteriów postępowania — tak jednocześnie zwarty i odporny na wpływy destrukcyjne, że w połączeniu z naturą aktywną i głęboko ludzką czyni z Ireny Nieznaniec potencjalnego bojownika z uciskiem narodowym i społecznym, potencjalnego aktora dramatu, który dziś się u nas rozgrywa.

Przyjrzyjmy się bliżej jej światowi wewnętrznemu.

W postaci robotnicy poznańskiej Ireny Nieznaniec zmartwychwstają cztery klasyczne jedności, osnowa i fundament wszelkich kultur minionych w okresie ich agresywnej, twórczej młodości: Jedność świata wewnętrznego i zewnętrznego; jedność dążeń indywidualnych z interesami klasy, narodu, ludzkości; jedność rozumu i pozostałych władz psychicznych; jedność słowa i czynu.

Jedność świata wewnętrznego i zewnętrznego

Jak pamiętniki większości robotników cały ten pamiętnik poznańskiej robotnicy przeniknięty jest pewnością, że otaczająca ją rzeczywistość nie podlega żadnym innym tłumaczeniom poza tymi, które są w samej rzeczywistości zawarte, że przyrodą rządzą prawa od żadnej woli indywidualnej, boskiej ani ludzkiej, niezależne, że zwycięstwo złych sił w historii ma swoje zupełnie określone doczesne przyczyny (stronice poświęcone sanacji i pułkownikom), że wyzwolenie wreszcie może nastąpić również tylko w sposób naturalny bez żadnego udziału sił nadprzyrodzonych, pozazmysłowych (w danym wypadku dzięki Armii Czerwonej). Irena Nieznaniec nigdzie nie zwalcza dogmatów religijnych, ale też nigdzie, w całej książce nie odwołuje się do nich, aby otrzymać wytłumaczenie tego, co się wokoło niej dzieje. Mimo że okupacja sprzyjała zabobonom, mistyce, dewocji — Irena Nieznaniec powoduje się zawsze zdrowym rozsądkiem, który każe jej liczyć się tylko z faktami, brać je za to, czym są, nie szukać niczego poza nimi, uczyć się ich i dostosowywać do nich w swym postępowaniu.

W materiałach żywiołowych tego typu, co Irena Nieznaniec, przyjmujących świat zewnętrzny jako oczywistą prawdę, ujmuje nas brak dwoistości, jednoznaczność ich myśli, zgodność postępowania z najskrytszym (nie zawsze jasno sformułowanym, tym niemniej istniejącym) przekonaniem. Światopogląd materialistyczny **odpowiada** młodej aktywności, jest jej drugą stroną. Właśnie w ruchu, w akcji człowiek przekonywuje się o nieustępliwości, o obiektywnym istnieniu zjawisk przyrodniczych i społecznych, poznaje ich właściwości i dowiaduje się o pierwszeństwie materii nawet w sobie samym.

Irena Nieznaniec jest uosobieniem aktywności. Ta aktywność wypływa częściowo z jej temperamentu, przede wszystkim jednak zmusza do niej życie, które z dwudziestoletniej, niedożywionej, zabiedzonej dziewczyny z poznańskiego przedmieścia czyni podporę całej rodziny. Myślenie Ireny Nieznaniec rozwija się prawie wyłącznie z jej aktywności, z jej ciągłego bezpośredniego kontaktu z ludźmi. Błędy koryguje natychmiast sama surowa rzeczywistość okupacyjna. Tak zostało skorygowane jej zaufanie do rządu sanacyjnego, jej naiwna wiara w lojalność ludzką i wiele innych. Możemy na tym względnie tak prostym przykładzie przekonać się jak myślenie (w tym wypadku oczywiście myślenie „praktyczne", pozanaukowe — a szersza analiza, na którą nie ma tu miejsca mogłaby wykazać że i naukowe także), nie rozrywane przez sprzeczność i kompleksy, rozwija się z czynu i poprzez czyn.

Jednym z przejawów żywego związku Ireny Nieznaniec z rzeczywistością jest jej ostre wyczucie proporcji między własnym życiem wewnętrznym a otaczającym ją życiem społecznym. Od strony formy przejawia się to w dobrodusznie-ironicznym traktowaniu swych radości, zmartwień i cierpień. Ironia stwarza perspektywę — odsuwa na pewną odległość, obiektywizuje własne „ja". Od strony treści zastanawia zdolność Ireny Nieznaniec do znajdowania dla siebie właściwego miejsca w przestrzeni społecznej. Nawet w chwilach rozpaczy, gdy inteligent mieszczański zapamiętale — i z lubością — pogrąża się w sobie, widzi ona swe troski w równie skąpych i ścisłych wyrazach jak wydarzenia tej samej wagi zaobserwowane na ulicy lub w fabryce. Cały pamiętnik przepaja zrozumienie tego, że „ja" jest tylko drobną częścią wielkiej całości.

Badawczy, gorący humanitaryzm, u dekadenta zwrócony jedynie na wewnątrz i stosowany wyłącznie do siebie, przenika w większości pamiętników sądy o wszystkich ludziach, zarówno bliskich, jak przypadkowo spotkanych.

Jedność jednostki i klasy

Życie społeczne, życie narodu nie jest jednak dla Ireny Nieznaniec wielkością jednorodną i niezróżnicowaną.

Chociaż nie stykała się ona widocznie nigdy z żadnym ruchem postępowym — poczucie solidarności robotniczej leży u podłoża jej etyki.

Etyka ta — i to należy podkreślić, nawiązując do rozważań wstępnych — nie uległa bynajmniej takiemu wstrząsowi jak moralność mieszczańskiego Zachodu. Wrzesień oczywiście pozostawił po sobie gorycz i przygnębienie, ale rozczarowanie Ireny Nieznaniec jest **gatunkowo** różne od przeżyć bohaterów „straconego pokolenia" i ich epigonów. Cierpi ona, jako **obywatel** zawiedziony w tym, co uważała za swą ojczyznę, za część **własnego** życia. Rozpacz ludzi „straconego pokolenia" była wywołana właśnie **poczuciem dystansu**, obcości i własnej małości wobec dramatu, który się rozgrywał **poza** mieszczuchem, i w którym nie było dlań miejsca. Na rozpacz tę składało się rozczarowanie sobą samym i uświadomienie sobie swego osamotnienia.

Irena Nieznaniec nigdy, w najgorszych nawet swych chwilach nie bywa sama. Jest zawsze częścią składową swej rodziny, swej klasy, swego narodu. Toteż w jej rozmyślaniach nie ma śladu powojennego cynizmu, na odwrót pod ciśnieniem bestialstwa i zbrodni wymagania stawiane sobie i innym precyzują się i zaostrzają. Główne spośród nich, podporządkowujące sobie inne — to zachowanie godności robotnika, Polaka.

Jedność słowa i życia

A godność ta wymagała wówczas — wymaga zresztą zawsze — męstwa i dyscypliny w przestrzeganiu jedności myśli i czynu. Niezawisłość i żywotność tej małej schorowanej kobiety, która potrafiła pokonać ból, głód i nędzę i w najgorszych chwilach nie traciła ufności w przyszłość winny zwrócić uwagę — zwłaszcza uwagę inteligenta.

I tu należy szukać źródeł lekceważenia i nieufności, jakimi Irena Nieznaniec obdarza swych znajomych ze środowiska mieszczańskiego. Dostrzega bowiem w nich tchórzostwo, bierność, zakłamanie, sadzenie się na „lepszy ton", brak prostoty i bezpośredniości. A zgodność życia i słowa — jak to sama czuje — wymaga nie tylko odwagi, wymaga także, by myśli i uczucia wyprane zostały z mieszczańskiej pruderii i zepchnięte z mieszczańskich koturnów. Warto by tu było zacytować np. jej niefrasobliwe rozważania o cudownych właściwościach formalności ślubnych lub barwny opis pogrzebu teściowej...

Nie tylko wszelki przejaw zakłamania wywołuje reakcję poznańskiej robotnicy. Znacznie prędsza i gwałtowniejsza jest jej reakcja na niesprawiedliwość społeczną, na krzywdę Żydów, jeńców sowieckich, kobiet maltretowanych w Arbeitsamcie.

Solidarność klasowa i narodowa, jedność słowa i czynu, głębokie poczucie sprawiedliwości społecznej — nie są to cechy prywatnej jedynie indywidualnej moralności Ireny Nieznaniec. Zarówno, gdy chodzi o światopogląd jak kryteria postępowania, tak, jak większość pozostałych pamiętników, pamiętniki jej są zwierciadłem i źródłem samopoznania — klasy.

Żywość, towarzyskość usposobienia, bogactwo temperamentu, dzielność i optymizm, wysoce rozwinięte poczucie godności osobistej, przy absolutnym braku sentymentalizmu w stosunku do siebie i przy dyskrecji i umiarze w wynurzeniach, głębia uczuć — maskowana dobroduszną ironią i nieco rubasznym humorem — oto portret człowieka normalnego (co dziś wobec wyczerpania przez literaturę schyłkowców wszelkich możliwych i niemożliwych kombinacji dziwactw i zboczeń jest niemal odświeżającą rewelacją), portret młodego robotnika wolnego od zakłamania, rozsądnego, i bezwstydnie dobrego, nie ukrywającego wcale tych cech pospolitych. To bezpośrednie i bezpretensjonalne przyznawanie się nie tylko do swych wad — najpospolitsza z perwersyj dekadentów — ale i do swych zalet, wypływa z bardzo znowu charakterystycznego, sprawiedliwego i **optymistycznego oceniania w sobie przeciętnego człowieka.**

Pamiętniki nie są dziełem **sztuki.** Dla uniknięcia nieporozumień i jakichkolwiek niewczesnych porównań ze szczytowymi osiągnięciami formalnymi starej literatury mieszczańskiej, powtórzmy raz jeszcze, że idzie tu tylko o to, iż wizerunki autorów tych pamiętników — w swej masie zwłaszcza — mogłyby posłużyć, jako materiał przy konstruowaniu nowych postaci literackich, postaci o aktywnym stosunku do życia, materialistycznym światopoglądzie i proletariackiej etyce.

Pisząc te słowa, zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że sam tylko wybór obiektu do sportretowania nie przesądza jeszcze o powieści i że nasz „kryzys bohatera" — jest jednocześnie kryzysem autora. Że jak mówi Bieliński: „Wielu ludzi ulega dziś wpływowi czarodziejskiego słówka: „kierunek"; myślą, że wszystko się w nim zawiera, nie rozumieją, że w dziedzinie sztuki kierunek musi mieścić się nie tylko w głowie, ale przede wszystkim w sercu, we krwi piszącego, winien być przede wszystkim uczuciem, instynktem, a dopiero potem — świadomą myślą — że tak samo trzeba być urodzonym dla niego, dla tego kierunku, jak dla samej sztuki. Idea przeczytana lub usłyszana i nawet należycie zrozumiana, ale nie przepuszczona przez własną naturę, nie nosząca na sobie odbicia waszej indywidualności jest martwym kapitałem... wszelkiej działalności literackiej".

Jeżeli tedy wskazuję potencjalnego bohatera, to w tej nadziei, że jesteśmy w przededniu pojawienia się również i autorów, dla których ten bohater będzie bliskim, swoim człowiekiem, którym „kierunek" wszedł nie tylko do głowy, ale i w krew i w serce.

Zofia Dąbkowska

JERZY JESIONOWSKI

PIEŚŃ TRAKTORZYSTÓW

Nasze konie
nie jedzą siana —
nasze konie
naftę u pomp piją.
Cóż, że siodło blaszane,
gdy się ziemia pod pługiem
wieloskibnym jak pierog zwija?..

Nasze konie
nie cuchną potem —
nasze konie
śmierdzą oliwą.
Cóż, że w twarz siepnie słota,
gdy się motor pod nogą
jak pies posłusznie do biegu zrywa?..

Naszym koniom
weterynarz nieznany —
naszym koniom
grzebie w brzuchach mechanik.
Nasze konie orzą, sieją i koszą,
nasze konie pędzą młockarnie.

Huczymy po polach, jak żuki,
zmierzch nas stadami do stacji zgania.
Nasze konie nie nocują w stajniach —
naszym koniom świecą nocą w oczy
monterzy z technicznej obsługi.

JÓZEFA WITOWSKA

U ADWOKATA

Szukając pracy, trafiłam do adwokata. W poczekalni z nudów poczęłam przeglądać gazety, pomiędzy którymi była bardzo duża ilość miesięczników o treści religijnej. Zastanowiło mnie to. Pierwszy raz widzę u inteligencji tyle broszur religijnych. To musi być dom wyjątkowy, a przy tym dobry — pomyślałam. Bez namysłu więc postanawiam się zgodzić, bo myślę, że w takim domu źle nie będzie. Czekałam dość długo, nim się pokazała pani adwokatowa. Myślałam, że to kucharka, gdyż nie wyglądała na osobę inteligentną. Zapytałam więc: — Czy zastałam panią adwokatową w domu? Bo ja przyszłam z ogłoszenia. — Pani adwokatowa zmierzyła mnie oczami i bardzo uprzejmie odpowiedziała: — właśnie to ja nią jestem. Zaskoczyło mnie to bardzo i pomyślałam, czy to może być ta sławna pani adwokatowa z dziesięciu pokojów. Pani adwokatowa zaś z wielką uprzejmością zaczęła mnie oprowadzać po swoich obszernych apartamentach. — Widzisz, moje dziecko, u nas jest duży dom, dużo pokojów i dużo ludzi do jedzenia. Obiady gotuje się na dziesięć, dwanaście osób. — Poczęła wyliczać: — Dwie panienki, panicz, szofer, sekretarz, sublokatorzy, biedni przychodzą na obiady. — A do kościółka, czy lubisz chodzić? Bo to jest najważniejsza rzecz, muszę wiedzieć kogo w dom przyjmuję. Dziewczęta mówią zwykle, że idą do kościoła, a idą na spacer i spóźniają się do domu. Tu do OO. Pijarów jest tak bliziutko, ja też tam chodzę. Wyglądasz na bardzo wątłą; czy aby podołasz tej robocie? Zresztą zobaczymy.

W umówionym dniu winduję się na górę z koszem i pościelą. Otwiera pani adwokatowa, rozpalona od ciepła kuchennego i robi na mnie wrażenie księżej gospodyni, a najważniejsza, że zaczęła się żegnać na mój widok. — A kto to słyszał, żeby służąca przychodziła od razu z takimi tobołami? Bierze się fartuch, chusteczkę na głowę i przychodzi się na parę dni na próbę. — A ja odpowiedziałam, że na próbę to się idzie do klasztoru, a ja przyszłam do roboty.

— O, takaś mądra? Nie wyglądasz na taką.

Ponieważ kosz był dość ciężki i nie miał mi kto pomóc, więc go byłam zmuszona ciągnąć przez poczekalnię i przedpokój do swego pokoiku, a raczej celi klasztornej. Pani adwokatowa uszy zakryła: — A słowo ciałem się stało, co ona wyprawia z takim rupotaniem! Pan chory a tu takie szuranie. Skończ już prędzej. — Zaraz, zaraz, przecie nie zostawię w przejściu.

Nareszcie znalazłam się w kuchni. Pani adwokatowa znowu spojrzała na mnie i powiada do córek: — A widzicie ją? Bez chustki chodzi. — Zaraz mi idź po chustkę na głowę, bo nie lubię, jak mi służąca trzęsie swymi kudłami. — Na nieszczęście chustka była gdzieś w koszu na spodzie i trudno ją było znaleźć, ku wielkiemu zniecierpliwieniu pani adwokatowej, która przyszła zobaczyć, co robię tak długo. Znów zaczęła: — O Serce Jezusa! W kuchni obiad na wykończeniu, a ona sobie rozkłada swoje fatałaszki. Co ci to po tym wszystkim, kiedy się w to ubierasz? Śpiesz się, śpiesz, bo mamy trzy osoby obce na obiedzie.

Taka mi się przy zgodzie wydawała słodka, a taka jest opryskliwa. I ta kuchnia taka ciemna. Oknem nic nie widać. Bardzo mała lampka się paliła. Był to dom rogowy między kamienicami, w którym wcale nie było podwórka. Pierwsze piętro więc było zupełnie ciemne i trzeba je było oświetlać lampą.

Dwie córki państwa adwokatów chodziły do gimnazjum, a synek studiował prawo, by iść śladem ojca i zostać tak jak on sławnym adwokatem.

Rzeczywiście, pan J. był wyjątkowo dobrym adwokatem. Wygrywał prawie wszystkie powierzone mu sprawy. Toteż nic dziwnego, że miał zawsze pełno klientów. Przyjmował od siódmej rano do ciemnej nocy, a w jego nieobecności przyjmował sekretarz. Miał ich pan adwokat aż dwóch. Przyjeżdżali do niego ludzie z różnych stron, jak do jakiego znachora, by się podzielić smutkiem i pieniędzmi. Gdy nastałam, pan adwokat był chory i od paru tygodni urzędował w łóżku. Podobno miał wypadek, ktoś go postrzelił. Z nogi mu dopiero zdjęli gips, ale chodzić nie mógł. Musiałam mu codziennie wieczorem godzinę masować, bo szkoda było płacić masażystce, a „wieczorem służąca i tak ma czas".

Pani mecenasowa nie mogła się z tym pogodzić, że ma córkę Marysię i służącą Marysię. — Czekaj, ja dla ciebie zaraz wymyślę jakieś imię, bo przecież nie mogę cię tak nazywać, jak moją córkę — mawiała. Pomyślała chwilę, przymrużyła jedno oko: — Wiesz, Małgosia będę na ciebie wołała.

Gdy pan J. począł chodzić, w pierwszy dzień zrobili zaraz duże przyjęcie, na którym byli sami adwokatowie i sędziowie. Pani adwokatowa się przechwalała: — Nasz dom to jest nie byle jaki. Zobaczysz, jacy goście będą u nas bywali. Pan jest znany na całą Warszawę. Zobaczysz dopiero, w jakiś ty się dom dostała. — Rzeczywiście zobaczyłam, w jaki dom się dostałam. U pani adwokatowej nic się zmarnować nie mogło. — Widzisz, Małgosiu, ja jestem bardzo praktyczna gospodyni. Te pudełeczka od zapałek i papierosów, wszystkie się wkłada w to pudło. Zwiędłe kwiaty wszystkie również się tu kładzie, wszystkie opakowania od różnych produktów także i tym wszystkim się ogień rozpala. Jaka to oszczędność na drzewie. — Ognia czasem nie było można rozpalić tymi śmieciami. Wtedy pani adwokatowa wpadała w złość, odpychała mnie od kuchni, krzycząc: — Ach, wy dziewuszyska, do czegoście wy stworzone, tylko do jednego żarcia, nawet ognia nie umiecie rozpalić! — Proszę pani, ja jeszcze nigdy śmieciami ognia nie rozpalałam. — mówię. — Precz od pieca! Ja ci śmieciu pokażę, jak się ogień śmieciami rozpala! O, widzisz, tylko trochę cierpliwości! Fąfle, ani odrobiny pociechy z żadnej nie ma.

Pani adwokatowa była rzeczywiście bardzo pracowita. O piątej rano budziła służącą i z nią razem sprzątała, bo jej żadna nie mogła dogodzić w robocie. Była ona bardzo szorstka w obejściu, brzydka i niemiła. Z czego ją ten adwokat wziął za żonę? Chyba, że była bardzo bogata — myślałam nieraz.

Pod koniec czerwca wybierają się na letnisko. Pojadą koło Piaseczna do własnego majątku. Wyobrażałam sobie, że mają gdzieś majątek po jej rodzinie. W dzień wyjazdu przed domem stanęła duża platforma i wynoszą nieomal wszystkie rzeczy z pokoju, a więc: łóżka dla panienek i panicza, otomany, fotele, stoły, szafy, pianino itd. Pytam się, dlaczego to wszystko zabierają. — Przecież do nas będą przyjeżdżać goście z Warszawy. Przy czym by się bawili, tańczyli, gdyby pianina nie było? Do mnie się zwróciła z bardzo słodką miną: — Ty, Małgośka, masz pamiętać i pilnować pana mecenasa. Co będzie robił, masz patrzeć. Gdy wieczorem będzie dłużej z jaką klientką w gabinecie, pod jakimkolwiek wejdź pozorem — zobacz co robią. Potem mi wszystko opowiesz. Ja tu będę często zaglądała.

Trochę żeśmy odżyli po jej odjeździe. Dowiedziałam się potem, że ten majątek, do którego pojechali, jakiś tam gospodarz chciał wyprocesować od rodziny. Tak adwokat dotąd prowadził tę sprawę, aż domek i ogród przeszły w jego ręce. Gospodarz bowiem nie mógł tyle zapłacić, ile adwokat żądał, pomyślałam.

Syn Miluś, prawdziwy „miluś" był jeszcze parę dni, bo się marnie uczył. Ojciec go pchał gwałtem na wydział prawniczy; by synek był kiedyś takim jak on. Ale Miluś był wyrodek. Złościł się, przeklinał, pił, sprowadzał koleżanki, które z nim piły i tańczyły. Były i takie, które zostawały z nim do rana. Gdy ojciec odmówił Milusiowi „forsy", to szukał, aż znalazł klucz od kasy ogniotrwałej. Wtedy ojciec rad nie rad wołał: — Oddaj klucz łajdaku, dam ci trochę „foraków". Ale czy Milek sam sobie nie brał, tego też nikt nie wie.

Pani Horniak, sublokatorka, zajmowała frontowy pokój. Dowiedziałam się później od niej, że była Estonką. Przyjechała do Warszawy odziedziczyć jakiś mająteczek po zmarłej rodzinie, gdzieś koło Pruszkowa. Była tam willa i sad owocowy oraz ogród warzywny. Kiedy pytała o dobrego adwokata, wskazano jej J., że drogi ale dobry. Pani Horniakowa przyjechała. Przyjął ją bardzo mile. Ofiarował jej piękny pokój. Pojechał zbadać sprawę, którą się podjął przeprowadzić. Ale pani Horniakowa nie może teraz płacić, dopiero jak sprzeda posiadłość. — Dobrze, pani u nas zamieszka do sprawy. Postaram się, by prędko nastąpiła — powiedział adwokat. Pani Horniak była żoną emerytowanego generała. W domu zostawiła sparaliżowaną córkę i męża pod opieką starej służącej, a sama wybrała się do Warszawy. Z trudem starczyło jej na życie i podróż w jedną stronę.

— O nic niech się pani nie troszczy, u nas wszystko będzie. Pokój był liczony po 150 złotych, a jedzenie, obsługa? — pani Horniak też potrzebowała kilka złotych na reparację bucików, na pończochy, listy do domu itp. Pan mecenas jej dawał i prowadził książkę rachunkową. — Pani Horniakowa była to osoba starsza i bardzo inteligentna — wysoka, tęga i miła. Mówiła akcentem rosyjskim. Ona rzeczywiście wyglądała na panią adwokatową. Cóż z tego, kiedy sprawa się posuwała żółwim krokiem. Dochodził już rok jak mieszka, a sprawy jeszcze nie było. Przychodziło często do sprzeczki z panem J. Żona była nawet zazdrosna, że mąż się uśmiechnął. Dość, że przestała razem jeść. Noszono do pokoju pani Horniakowej. Teraz miała za mało. Dopominała się o więcej. Pieniędzy nie miała, by sobie coś dokupić. Poznała znajomych, którzy służyli w wojsku z jej mężem. Toteż często była proszona na obiad czy na przechadzkę. Dostała czasem parę złotych, by sobie mogła coś kupić. Bielizna jej się poczęła niszczyć. Z domu nic przysłać nie mogli. Nawet służąca jej zaczęła chodzić do roboty, bo pan Horniak był chory. Nareszcie sprawę wygrała. Teraz trzeba czekać, by kto kupił posiadłość. Obecnie pan J. rządzi, bo właścicielka ma u niego długi. Pani Horniak prosi, by sprzedać choć taniej, bo ona tu nie może siedzieć tak długo. Pan adwokat na to: — Co?! Ziemia dobra, owoce, tak blisko Warszawy zmarnować za pół darmo? Pani Horniak czekała jeszcze rok. Teraz pan adwokat nie daje jej ani grosza, gdyż już swój majątek przejadła. Nie pomogły płacze, lamenty, co dzień rano jej nosiłam pół litra mleka, trzy bułki, od czasu do czasu trochę kawy, herbaty i cukru. Jak się dopominała pieniędzy to jej adwokat posłał 50 groszy. Kiedy zrobili rachunek, okazało się, że utrzymanie przeszło dwuletnie więcej kosztuje niż ten majątek. Horniakowa dobrze wiedziała, że J. zwlekał ze sprzedażą. Chodziła nawet do innych adwokatów, ale darmo nie ma nigdzie nawet porady. Kobieta była bezradna, żałowała, że przyjechała do Warszawy, bo majątek przeszedł w ręce adwokata. Prosiła, by jej dał na drogę do domu, bo nie miała za co jechać. Chodziła nawet do konsula estońskiego, by jakoś ją wysłali na koszt państwa. Prawdopodobnie ją wysłali, ale ja już tam nie byłam.

Jeszcze jedną sprawkę miał pan J. na sumieniu, co mnie jeszcze więcej w podziw wprowadziło, bo przychodzili ludzie, których J. unikał i innymi drzwiami do sądu wychodził. Kiedyś nie wyszli z mieszkania, cały dzień i adwokat w domu nie nocował. Dowiedziałam się od nich, że przed paru miesiącami z jakimś kolegą otworzył wspólną restaurację. Pobrali kaucję od personelu, a po paru tygodniach interes zlikwidowali. Gdy ludzie przyszli do pracy było zamknięte — kaucji ani pensji nie oddano. Wtedy to poczęli ścigać pana J. i w czasie pogoni ktoś go postrzelił. Nie było innej rady tylko oddać adwokata pod sąd. On zaś bywał w sądach, więc ile razy sprawa podchodziła na wierzch, adwokat akty chował pod spód. Tak minęło znowu parę miesięcy. Co było później, też nie wiem, bo tak długo tam nie byłam.

Pani adwokatowa z letniska wpadała często jak bomba i zamęczała mnie pytaniami: — Co pan robi, ile klientów przyjmuje, czy późno w nocy przyjmuje, czy jakie panie nie przychodzą itd. Była bardzo zazdrosna o niego. Gdy odpowiedziałam, że mnie pan nic nie obchodzi, to wtedy znów na mnie: — Bo się z nim znasz! Już cie zdążył przerobić po paru dniach! — Ja się zawsze tylko dziwiłam, że ma takie czupiradło-żonę. Bo to ani ładne, ani dobre. Skończyła ze mną, zaczęła z mężem. Pożycie adwokatów było podobno zawsze takie — kłótnie, hałasy, bitwy. Znał je dobrze cały dom a nawet cała ulica, bo córki z balkonu wzywały na ratunek policję, kiedy tatuś mamusię bił. Narobiła hałasu, szumu i jak piorun znikła. Było znowu kilka dni spokojnie.

Pan adwokat miał rzeczywiście bardzo dużo pracy. Przyjmował od siódmej rano i gdy wrócił z sądu przyjmował czasem do dwunastej w nocy. Pomiędzy klientami znajdowała się często jakaś „dostojność", która wchodziła ostatnia a nie wychodziła. Widocznie żona o nią była taka zazdrosna.

Żeby to sam adwokat, ale często ojciec w jednym pokoju miał klientkę, a syn w drugim koleżankę. Syn drzwi pozamykał, bielizną szpary zatykał by ojciec nie poczuł alkoholu, bo syn lubił się bawić przy wódeczce, a ojciec „na sucho"..

Wypłacać służbie było im bardzo ciężko. Żadnej służącej nie wypłacili, aż dopiero po przeliczeniu rzeczy w domu. Z pewnością tych rzeczy wcale nie liczyli. Pani Horniakowa mnie ostrzegała, bym się dopominała pensji, bo potem mi nie oddadzą. Ja prosiłam o pieniądze, że mi są potrzebne dla dentysty, to dostałam ledwo 25 złotych. Przebyłam trzy miesiące i nic więcej nie dostałam. Pani adwokatowa miała jeszcze taki zwyczaj, że przy odejściu służącej przeglądała jej bieliznę. Jeśli była ładna, to krzyczała, że to kradzione, bo z czego by miała. Rzucała po ziemi krzycząc: — Łajdak i złodziej ma tylko taką bieliznę, a nie uczciwa. — Przy moim odejściu były również podobne sceny. Nie obyło się nawet bez policji, która mi radziła sprawę o zapłatę oddać pod sąd.

Józefa Witowska

GRZEGORZ JASZUŃSKI

Kronika amerykańska

Kilka słów o prasie, radio i filmie

Nowy Jork, w kwietniu

Na temat prasy, radia i filmu w Stanach Zjednoczonych można napisać grubą książkę. Można też napisać krótki właściwie felieton. Myśl przewodnia książki czy felietonu byłaby ta sama: prasa, radio i film stały się w Ameryce częścią „Big Business" (big biznes — dosłownie wielki interes czy handel, w przenośni świat wielkiego kapitału). Poniżej kilka ilustracji do tego tematu.

„NADAJE SIĘ DO DRUKU"

Leży przede mną ostatni numer dziennika „New York Star", bardziej znanego w Ameryce i w Polsce jako „P. M.". Dziennik ten powstał w czerwcu 1940 roku, po 8 latach nastąpiła zmiana nazwy, ale i to nie pomogło, i w numerze z dnia 28 stycznia rb. wydawca Bartley C. Crum i redaktor Joseph Barnes zawiadamiają, że z powodu trudności finansowych zmuszeni są do likwidacji gazety.

„P. M." czy „Star" był gazetą liberalną w najlepszym i najściślejszym tego słowa znaczeniu. Nie była to gazeta zbyt lewicowa — podczas ostanich wyborów „Star" popierał kandydaturę prezydenta Trumana. Nie była to gazeta prosowiecka, jak twierdzili jej liczni amerykańscy przeciwnicy. Krytyka Związku Radzieckiego dość częsta była na łamach „P. M." czy „Star". Ale z drugiej strony dziennik ten w ciągu 8 i pół lat swego istnienia domagał się równouprawnienia Murzynów, walczył o prawa „prostego człowieka", zwalczał antysemityzm w USA, w ostatnich latach protestował przeciw „zimnej wojnie" i demaskował jej reżyserów, starał się informować swych czytelników uczciwie i bezstronnie.

Nakład „Star" wynosił w ostatnich tygodniach około 150 tysięcy egzemplarzy, gazeta miała więc ponad pół miliona czytelników. W warunkach amerykańskich jest to zbyt mało dla utrzymania dziennika. Najważniejszą pozycją w budżecie każdej gazety amerykańskiej są ogłoszenia, a ogłoszeń „P. M." początkowo nie przyjmował, potem, gdy już zmuszony był przyjmować — miał bardzo mało. Zmiana nazwy na „Star" nie zmieniła pod tym względem sytuacji. „Big biznes", który daje ogłoszenia, zdecydowanie nie chciał popierać tego liberalnego dziennika. W oczach przemysłu samochodowego i tytoniowego, które wydają miliony dolarów na ogłoszenia, „Star" była gazetą „bolszewicką". Po cóż więc ją popierać? Gazeta została zlikwidowana.

Na rynku wielkiego ośmiomilionowego Nowego Jorku pozostało zaledwie 8 dzienników. W ciągu ostatnich 25 lat liczba gazet w tym największym amerykańskim mieście zmniejszyła się z 13 do 8, chociaż przybyło ponad 2 miliony mieszkańców. Utrzymały się na rynku gazety, które zgodnie z hasłem „New York Timesa" drukują „wszystkie wiadomości nadające się do druku". Cóż to znaczy: „nadają się do druku"? Przytoczę dwa przykłady wiadomości, które do druku się „nie nadają", aby wyjaśnić sytuacje na amerykańskim rynku dziennikarskim.

W mieście Trenton skazano na śmierć sześciu Murzynów za rzekome zamordowanie „białego" kupca. Lecz oskarżeni wykazali swą niewinność. Obecnie znany prawnik amerykański **O. John Rogge** — ten sam, który był we Wrocławiu — prowadzi walkę o życie sześciu młodych murzyńskich chłopców. Zdawałoby się, że temat jest sensacyjny, że „nadaje się do druku". Prasa amerykańska uważa inaczej. Prasa amerykańska nic nie pisze o sprawie „sześciu z Trenton". „Big byznes", który daje ogłoszenia, nigdy nie walczy o prawa Murzynów, cóż go obchodzi los tych sześciu?

W mieście Nowy Jork odbywa się proces przywódców Amerykańskiej Partii Komunistycznej. Proces trwa już od szeregu tygodni. Od wyniku procesu zależą losy wolności obywatelskich w USA. Każde posiedzenie sądu jest pewną sensacją. Zdawałoby się, że temat „nadaje się do druku". Mylicie się. Prasa amerykańska albo wcale nie pisze o „procesie dwunastu", albo całkowicie zniekształca sprawozdania z procesu. „Big byznes" nie jest zainteresowany w obiektywnych sprawozdaniach z procesu, który przywódcy komunistyczni i ich obrońcy zamienili w sąd nad amerykańskim wymiarem sprawiedliwości.

STACJE „DOBREJ WOLI"

Z amerykańskim radiem zapoznałem się w nocy z 2 na 3 listopada 1948 roku. Na ogół nie słucham radia. Tej nocy przesiedziałem przy aparacie prawie 12 godzin bez przerwy Chodziło mi o wyniki wyborów prezydenta USA, wyborów, które wbrew przepowiedniom całej prawie amerykańskiej prasy i wszystkich stacji radiowych dały zwycięstwo Trumanowi.

Podziwiałem w ciągu nocy technikę stacji radiowych. Wszystkie większe stacje nadawały nie tylko wyniki wyborów z poszczególnych części kraju. Co kilka lub kilkanaście minut większe studia łączyły się telefonicznie z różnymi redakcjami, organizacjami lub znanymi osobami w różnych miastach, i doskonale słychać było przebieg tych rozmów telefonicznych. Wiadomości przeplatane były komentarzami — błędnymi, ale doskonale nadanymi.

Radio jest w USA nie mniejszą potęgą niż prasa. 25 milionów odbiorników i 80 milionów stałych słuchaczy jest dostateczną zachętą dla „big byznesu" by lokować miliony dolarów w ogłoszenia radiowe i zakup programów radiowych. Stacje radiowe należą bowiem w USA do prywatnych osób lub wielkich spółek i „sprzedają" czas radiowy. Minuta kosztuje tyle i tyle dolarów (zależnie od stacji, pory dnia itd.).

Nadzór państwowy nad radiem jest minimalny — „Byznes" nie lubi ingerencji państwa. „Federal Communications Commission" — tak się nazywa urząd kontrolujący stacje radiowe — wydaje zezwolenia na prowadzenie stacji i może je odwołać, lecz jak się za chwilę przekonamy, kontrola nie jest zbyt groźna.

Przed tym państwowym urzędem znajduje się już od roku sprawa niejakiego pana George'a A. Richardsa, właściciela trzech wielkich stacji radiowych, które dziwnym zbiegiem okoliczności nazywają się „Goodwill Stations" (Stacje Dobrej Woli). Są to stacje mocy 50.000 wat w miastach Los Angeles, Detroit i Cleveland, a więc w wielkich miastach przemysłowych, nie gdzieś na dalekiej prowincji. Stacje „Dobrej Woli" mają miliony słuchaczy.

Pan George A. Richards oskarżony został przez Klub Wiadomości Radiowych w Hollywood o to, że polecał swym współpracownikom systematycznie przekręcać wiadomości radiowe, nadawać wiadomości o zabarwieniu antysemickim, i o to, że bezprawnie zwolnił jednego z współpracowników, który odmówił wykonania tych rozkazów. W ciągu prawie rocznego dochodzenia nagromadzono przeciw Richardsowi obfity materiał obciążający.

Okazało się, że ten — krótko mówiąc — faszysta uważa swe stacje radiowe za odpowiedni teren do działalności politycznej. Celem jego jest „walka z komunizmem", kampania na rzecz generała Mac Arthura, wielkorządcy Japonii, znanego ze swych faszystowskich sympatii, zohydzanie imienia Roosevelta i haseł rooseveltowskiego „Nowego Ładu".

Taki jest program stacji „Dobrej Woli". Pan Richards łatwo godzi ten program ze statutem amerykańskiego „Narodowego Zrzeszenia Stacji Radiowych", który powiada, że „radio amerykańskie jest żywym symbolem demokracji" (oczywiście w amerykańskim znaczeniu tego słowa). Pomimo rocznego dochodzenia panu Richardsowi, jak dotychczas nic złego się nie stało. A prasa amerykańska przemilcza całą tę skandaliczną sprawę, widocznie jako „nie nadającą się" do druku...

KRYZYS W HOLLYWOOD

Wybitny amerykański reżyser filmowy Lewis Milestone, twórca znanych także w Polsce filmów „Na Zachodzie bez zmian" i „Myszy i ludzie", pisał ostatnio o kryzysie w Hollywood: „Nikt nie chodzi do kin. Interesy są złe. W całym Hollywood, tylko 370 aktorów ma długoterminowe umowy w porównaniu z normalną liczbą 1200 kontraktów. Z łącznej liczby 1800 pisarzy, którzy opracowywali scenariusze w ostatnich 3 latach, obecnie ma zatrudnienie tylko 250, a spośród nich tylko 50 ma kontrakty długoterminowe... Jedna trzecia osób starających się o zasiłki dla bezrobotnych w okręgu Hollywood — to pracownicy filmowi. Wielu wybitnych reżyserów chodzi bez pracy. Wytwórnia RKO chce sprzedać poniżej ceny 150 gotowych scenariuszy. Dochód brutto z filmu w wysokości 2 i pół miliona dolarów uważany jest za wielki sukces, gdy podczas wojny dochody sięgały 7 i 8 milionów dolarów. Przeciętny obraz przynosi najwyżej półtora miliona. Rynek zagraniczny praktycznie nie istnieje. Taki jest obraz Hollywood dla ludzi pracujących w przemyśle filmowym".

Do tego wymownego opisu chcę dodać kilka własnych obserwacji. Kino „Little Met" w śródmieściu Nowego Jorku wyświetla tylko zagraniczne obrazy. Przed początkiem programu dyrekcja rzuca na ekran następujący napis: „Kino nasze dawać będzie tylko filmy zagraniczne oraz wartościowe obrazy z Hollywood, jeżeli takowe zostaną wyprodukowane"...

Tygodnik „The New Yorker", przeznaczony dla inteligencji i dla snobów, bogaty i raczej niezależny od reklam branży filmowej, zamieszcza co tydzień wykaz wyróżniających się filmów. W ostatnim tygodniu wykaz „New Yorkera" zawierał 15 pozycji, a mianowicie 7 filmów amerykańskich i 8 zagranicznych (4 francuskie, 2 włoskie i 2 angielskie). Ta przewaga filmów zagranicznych jest jeszcze jednym dowodem kryzysu w Hollywood. Zresztą wśród 7 filmów amerykańskich, wymienionych przez „New Yorkera", tylko 6 powstało w Hollywood, a jeden jest zaprzeczeniem Hollywood. O nim właśnie chcę napisać kilka słów.

Jest to na wpół dokumentarny film „The Quiet One" (Ten spokojny), wyprodukowany w Nowym Jorku przez małą grupę entuzjastów filmu, tanim kosztem i bez zawodowych artystów. Treścią filmu są dzieje małego murzyńskiego chłopca, nieszczęśliwego i samotnego, który znajduje schronienie i ukojenie w dobrze prowadzonym zakładzie dla dzieci. Film ten wywołał wielką sensację w amerykańskich kołach artystycznych. Nie ma w nim „miłości" w rozumieniu Hollywood, nie ma pięknych i dobrze ubranych kobiet, nie ma bogatych panów, nie ma marmurowych schodów i ulicznych tancerek, nie ma szampana, nikt nikogo nie zabija i nikt przeciw nikomu nie intryguje. To wystarczyło, by film zrobił wielkie wrażenie. To chyba najlepiej świadczy o kryzysie w Hollywood nadal produkującym około 400 filmów rocznie pod łącznym tytułem „Zcałuj krew z moich rąk" (autentyczny tytuł jednego z filmów).

KONKLUZJE

Nierozpowszechnianie informacji, nietworzenie dzieł sztuki jest celem prasy, radia i filmu w USA.

Przytoczę na zakończnie wypowiedzi na ten temat z prac Amerykanina George'a Seldesa, znawcy prasy amerykańskiej, i Anglika Harolda Laskiego, piszącego o Ameryce z wielką sympatią.

George Seldes w książce „1000 Americans" (str 138) stwierdza, że polityka redakcyjna prasy amerykańskiej „ma podwójny cel: 1. zarabianie pieniędzy, 2. obronę systemu, w którym ona prosperuje".

Harold Laski w książce „The American Democracy" (str. 617) pisze, że prasa, film i radio w Stanach Zjednoczonych „są gałęziami Big Business a ich celem jest nie głoszenie prawdy, lecz gromadzenie zysków: prawdą, na którą one sobie mogą pozwolić, jest rzadko całą prawdą, raczej jest to tylko tyle prawdy, ile można pogodzić z gromadzeniem zysków".

Dlatego właśnie została zlikwidowana „Star", dlatego gazety amerykańskie przemilczają tematy dla nich niewygodne, dlatego ma powodzenie pan Richards i jego stacje „Dobrej Woli", dlatego musiał nastąpić kryzys w Hollywood.

Grzegorz Jaszuński.

BIBLIOTEKA W PRENUMERACIE

JERZY ANDRZEJEWSKI

POPIÓŁ I DIAMENT

Powieść
Wydanie II

str. 334
B. w P.

KLUB DOBREJ KSIĄŻKI

JULIAN TUWIM

WYBÓR POEZJI

W nowym układzie

str. 282
K.D.K.

WŁADYSŁAW SZAFER

ZARYS OGÓLNEJ GEOGRAFII ROŚLIN

Biblioteka
Podręczników Akademickich

str 409
zł 450

TEATR • TEATR • TEATR • TEATR • TEATR

ARTUR MARYA SWINARSKI

»Komedia« Wydrzyńskiego

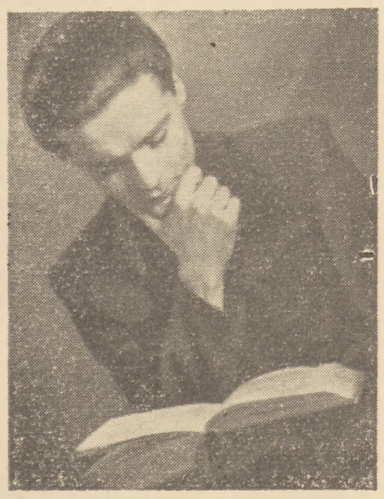

Andrzej Wydrzyński

Państwowy Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. **Andrzej Wydrzyński:** „Komedia", relacja dramatyczna w dwóch aktach z prologiem i epilogiem. Reżyseria: **Jerzy Merunowicz.** Dekoracje: **Wiesław Makojnik.** Światła: **Kazimierz Lewicki.**

1

W „Odrodzeniu" z dnia 6 marca br. opublikował Andrzej Wydrzyński uwagi o teatrze i o swoim teatrze (**„Walka z teatrem o teatr"**). Uwagi te niech nam posłużą, jako przewodnik przy omówieniu jego „Komedii", granej obecnie w Katowicach.

„Jeszcze na Pawiaku", pisze Wydrzyński. **„I później (po „zwiedzeniu" kilku obozów koncentracyjnych) w Dachau myślałem o napisaniu sztuki, która ujęłaby w syntezę lata dojrzewania mego pokolenia, to znaczy okres poprzedzający wojnę — i lata okupacji. Miała to być próba pokazania poprzez jakaś wymyśloną rodzinę pewnego środowiska na tle epoki. Próba realistycznego ujęcia ludzi i problemów — i równocześnie próba historycznej syntezy".**

Rodzina jest taka. Pani Janina, żona sanacyjnego dygnitarza; melanż poczciwości i klinicznej głupoty: we własnym mniemaniu najlepsza żona i matka; oczywiście praworządna — i oczywiście praworządna także w stosunku do okupanta. Postać prawie że monumentalna symboliczna: Magna Mater Sanatia.

Jeden z jej synów, Piotr: typ nieskomplikowany, faszyzujący akademik z grubą laską i nikłym życiem wewnętrznym; lektura: żadna, w najlepszym wypadku „Merkuryusz Ordynaryjny"...

Drugi syn, Edward: typ skomplikowany — z jednej strony: charakterystyczne dla okresu przedwojennego znużenie, składające się ze spleenu, chandry, weltszmercu, melancholii i hamletyczności, i wynikająca z tego niezdolność do decyzji, czynu i oporu; z drugiej strony: nie mniej charakterystyczny dla okresu przedwojennego (u ludzi myślących) niepokój i przeczucie katastrofy; lektura: Marks i Engels. Ale skutki tej lektury raczej kameralne, domowe: dyskusje z siostrą i kłótnie z bratem. Dopiero po klęsce, w obozie, na chwilę przed śmiercią zrozumie, że był człowiekiem niepotrzebnym, bo l e t n i m (a tych już Dante umieścił w piekle), że umiera nie w walce, nie dla idei, ale gdzieś na marginesie historii, bo żył na marginesie historii i był tylko kibicem historii.

Matka i dwaj synowie, to postaci gotowe nie ulegające w sztuce żadnym przemianom. Ulega im natomiast córka, Anna. Trochę artystka (chodzi do szkoły dramatycznej), trochę córka swej matki, ale także trochę siostra swego brata Edwarda; i narzeczona działacza lewicowego. Lektura: „Arkady", „Wiadomości Literackie", „Zwierciadło" i po trochu wszystko, po łebkach. Dziewczyna bez kręgosłupa, ale zadatek na człowieka, o czułym wnętrzu. Tym wnętrzem zaopiekował się przed wojną Edward, po wojnie zaopiekuje się nim ów narzeczony; widzimy, jak to wnętrze szlachetnieje powoli, jak dziewczyna staje się dzielna i aktywna; wierzymy w jej dobrą przyszłość. Jest to w sztuce najlepiej narysowana postać, narysowna z zadziwiającą, jak u debiutanta znajomością człowieka i rzemiosła.

Oto **„wymyślona rodzina pewnego środowiska na tle epoki"**. Rodzina charakterystyczna dla tej epoki i dla środowiska, które w tej epoce decydowało o wszystkich naszych dziennych sprawach.

Poza rodziną jest jeszcze jedna postać: działacz lewicowy, Ryszard. I tutaj znów zadziwiający jak u debiutanta chwyt dramatyczny: ten człowiek czynu nie wchodzi na scenę przez dwa akty sztuki, nie wkracza w to środowisko rodzinne, bo wówczas musiałaby rozegrać się walka, a autor jej unika, chce pokazać tylko trwanie w bezruchu, stagnację, nawet etapów rozkładu rodziny nie pokazuje, lecz niejako stwierdza stan faktyczny. Inny pisarz wprowadziłby na pewno Ryszarda wcześniej na scenę, by łatwymi środkami wywołać kontrast dramatyczny (za chwilę zobaczymy, w jaki sposób Wydrzyński działa kontrastami). Ryszard zjawia się u pani b. dygnitarzowej dopiero w epilogu sztuki, mającym zresztą rozmiary pełnego aktu, jako zwycięzca, lecz równocześnie jako poseł, zapowiadający dalszą walkę, bo zostało przy życiu jeszcze wielu Piotrów, którym wojna nie potrafiła otworzyć oczu...

Pięć postaci scenicznych znalazło swego autora. Pięć żywych postaci z krwi i kości, nie z papieru.

2

„W realizacji pomysłu", pisze Wydrzyński, **„nie chciałem za żadną cenę sięgać do środków pozarealistycznych, chociaż te nasuwały**

Halina Cieszkowska (Matka)

się natarczywie. Po okresie przygnębiającej rezygnacji nastąpiło olśnienie: zrozumiałem, że najwłaściwszą drogą będzie zastosowanie w danej sztuce techniki filmowej".

I dalej:

„Znajdujemy się w tym miejscu, w którym doświadczenia filmu mogą również być pożyteczne dla sztuki teatralnej, mogą wstrzyknąć w jej stare żyły parę litrów świeżej, gorącej krwi".

Otóż tego rodzaju zastrzyki pakuje film w stare żyły teatru już od przeszło trzydziestu lat. Reportaże teatralne z mnóstwem krótkich scen przy ciągle zmieniających się dekoracjach; dalej: skoncentrowanie uwagi widza na jednym aktorze (czy na jednej części jego ciała), niejako w y c i ę c i e go z obrazu scenicznego za pomocą reflektora — to właśnie efekty takich zastrzyków. I przed kilkudziesięciu laty pomagały te zastrzyki przy narodzinach nowego typu aktora teatralnego. Kto pamięta z ekranu Ritę Sacchetto, albo film ze sceną, w której Maria Carmi tylko schodzi po stopniach, a wymowa jej ciała przy każdym kroku staje się coraz bardziej wyrazista i odkrywcza — i kto uprzytomni sobie teatr owej epoki z aktorami - kukłami o solennej sztywności, zrozumie, jaką rewolucję rozpętał film na scenie: niemy aktor z ekranu przypomniał aktorowi teatralnemu, że ma ciało, a nie tylko głos; kazał mu odszukiwać i budzić śpiące mechanizmy mięśnia i nerwu. Typ „wzrokowy" aktora z ekranu połączył się z typem „słuchowym" aktora ze sceny — i tak narodził się aktor realistyczny. (Proszę mi wybaczyć skróty w tych wywodach, ale pisałem już raz na ten temat obszernie w krakowskich „Listach z Teatru").

Słowem: ta Ameryka Wydrzyńskiego dawno odkryta. Ale nie znaczy to wcale, że stosowanie techniki filmowej w utworze scenicznym jest nie na miejscu. I że stosowanie jej w „Komedii" jest błędem. Autor posługuje się tą techniką, gdy zastępuje dialogi relacjami.

„Ból, radość, miłość, nienawiść czy jakakolwiek bądź pasja", pisze Wydrzyński w swym artykule, **„może udzielić się widzowi przez opowiadanie, przez krótkie, dramatyczne relacje. Istnieje wzruszająca sztuka opowiadania, dzięki której można nawet w sposób doskonały przekazać uczucia. Można bez pokazywania celi więziennej i umundurowanych oprawców wzruszyć widza, przekonać go o bólu, o więziennej tęsknocie, o rozpaczy — posługując się formą sprawozdania".**

Oczywiście — każda relacja jest w zasadzie antydramatyczna. I jest tych relacji w sztuce Wydrzyńskiego za wiele; nie straciłaby na zrozumiałości, a zyskałaby na zwięzłości, gdyby połowę sprawozdań usunięto. Antydramatyczność relacji — i znów zwycięstwo autora! — niwelują sąsiadujące z nimi dialogi — dramatyczne, kontrastowe, pełne pasji dyskusje; dialogi po prostu wzorowe. Język utworu jest przy tym tak piękny i tak przesycony poezją, że zabarwia się nią i publicystyka, bez której tego rodzaju sztuka obyć się nie może. I piekielnie jadowity, wiwisekcyjny humor jest w „Komedii". Słuchając jej zapominamy o jednym: że nie ma tu prawie zupełnie akcji. Dialog galopuje i stwarza jej pozory. Jestem widzem starej daty i lubię dramaty z prawdziwą, soczystą akcją; ale o sto procent starszej daty pisarz, Shaw, udowodnił kilkunastoma utworami, że dramat może obyć się bez akcji, że mogą zastąpić ją dyskusje... Nie będę tedy uczył Wydrzyńskiego.

„Komedia" ma wady; ma ich nie wiele, jak na debiut. Są tam proroctwa **ex post:** na początku wojny Edward przepowiada jej dalszy przebieg z dokładnością, której wtedy pozazdrościliby mu najbardziej bystrzy politycy; to trochę śmieszy. Są naiwności i mędrkowania.

Ale jest w „Komedii" porywająca pasja walki i wiara w zwycięstwo. Jest uczciwość wobec wroga, a nienawiść taka, o której mówi L. H. Morstin: „Nienawidzę was wielką ojczyzny miłością". Dramat szlachetny i piękny. I myślę, że nie doceniony. Głosy prasy katowickiej brzmią nieco ironicznie. Jedynie „Odrze" należy się pochwała za to, że debiut młodego autora powitała serdecznie i owacyjnie.

Krystyna Wydrzyńska (Anna) i Jerzy Merunowicz (Edward)

„Komedia" wywołuje na widowni silne wrażenie, mimo że realizacja sztuki nie jest bez wad.

3

Reżyser, **Jerzy Merunowicz**, albo nadużywał czerwonego ołówka, albo o nim zapominał. Niepotrzebnie zachował kilka „relacyj", bez których obyłoby się w sztuce. Natomiast dialogi poskreślał czasem z krzywdą dla autora. Można wykreślić całą frazę, ale nigdy jej części, bo wtedy powstaje luka i posądzamy autora, że źle rozwiązał daną scenę; dopiero po przeczytaniu pełnego tekstu sztuki poznajemy, kogo tu winić. Sytuacje rozplanował reżyser na ogół ściśle według instrukcji autora, co sztuce wyszło na dobre. Jedynie sceny w krematorium były zbyt długie i natrętne.

Z wykonawców tylko kobiety zrozumiały intencje autora całkowicie. Matka **Haliny Cieszkowskiej** była aż groźna w swej głupocie. — **„Sądzę że można pisać takie sztuki, które aktorów zmuszą do powściągliwości".** (Jeszcze raz cytuję artykuł Wydrzyńskiego). Z taką właśnie wymarzoną przez autora powściągliwością zagrała trudną rolę Anny **Krystyna Wydrzyńska.** Uwierzyliśmy w jej stopniowe przeobrażanie się, mimo że bardzo delikatnie i dyskretnie demaskowała swe wnętrze.

Dekoracje niedopuszczalne. Trudno uwierzyć, by rodzina sanacyjnego dygnitarza, właściciela kilku majątków i pliku akcji, mogła mieszkać w takiej norze ze źle pomalowanej dykty. I garniturki dwóch synów dygnitarza zbyt obskurne; może ostatecznie Edward nie dbać o siebie, ale Piotr powinien być przesadnie elegancki.

Artur Marya Swinarski

KLUB WYDAWNICTW MUZYCZNYCH to tanie nuty dla uczniów, nauczycieli, muzyków, skrzypków, pianistów, śpiewaków i chórów amatorskich K 10-1

Prospekty oraz informacje we wszystkich księgarniach „Czytelnika"

MARIUSZ MARGAL

Chochołów w lutym 1949

Szubienicę Austriacy postawili u wejścia do wsi, na drodze nowotarskiej tak, że każdy musiał koło niej przejechać. Postawili ją uroczyście i z paradą, aby wszyscy mieszkańcy pamiętali o losie buntowników i aby szerzyła postrach. Szubienica szerzyła postrach przez lat trzy, potem na jej miejscu wzniesiono niewielką kapliczkę i ustawiono tyłem do Czarnego Dunajca i Podczerwonego.

Rząd był cesarski i miłościwy. Skazanych na wieloletnie więzienie przywódców powstania wypuścił z twierdz w Kufsteinie i Spielbergu, gdy wolnościowe ruchy Wiosny Ludów poważnie już zagroziły istnieniu monarchii habsburskiej, Chochołowianom zaś sprowadził „dwóch księży Jezuitów, którzy na dobrą drogę górali naprowadzać mieli, lecz ich w kazaniach swoich hańbili". Potem, gdy klęska nieurodzaju przyszła na Podhale rząd przysyłał pomoc wiernym parafiom Czarnego Dunajca i Podczerwonego, zaś „od ubogich gazdów Chochołowa niemiłosierne podatki i daniny ściągał". Czarnodunajczanie przechodzili obok kapliczki z pogardliwym uśmiechem i mówili: „Pan Bóg karze wszystkich za to, że się na cesarza porwali". Ale to nie Pan Bóg karał.

Dziś dzieci bawią się przed kapliczką i nawet nie wszystkie wiedzą o jakimś powstaniu sprzed przeszło stu lat, chociaż w każdej chałupie można znaleźć zniszczone już, stare egzemplarze „Gazety Podhalańskiej", rzadkie książki o powstaniu lub broszurę, która „W setną rocznicę powstania chochołowskiego" ukazała się w roku 1946 w Nowym Targu. Co rok, 21 lutego, w miejscowej szkółce odbywa się uroczysta akademia; dzieci deklamują okolicznościowe wierszyki, których nie rozumieją, i śpiewają cienkimi głosikami piosenki.

Czarnodunajczanie poszli na Chochołów z kosami i ciupagami 22 lutego, kiedy Chochołowianie zabrali już z komory celnej w Suchej Górze cła galicyjskiego złotych reńskich 600, kiedy już z sąsiednich wsi — Witowa, Cichego i Dzianisza — szykowali się chłopi do wymarszu w doliny w celu połączenia się z powstańcami w krakowskim i kiedy już rozbrojone zostały okoliczne garnizony, którym oświadczono, że „to nie mordy, ale uczciwe i porządne powstanie".

Do walki przeciw krajanom zagrzewał Czarnodunajczan emisariusz Kulczycki. „Pamiętajcie, że Chochołowianie pójdą na Dunajec rabować i palić!" — wołał, a chłopi nadciągali od Podczerwonego i wierzyli. Za Czarnodunajczanami szły „jegry" austriackie, ale ich Chochołowianie wszystkich przegonili. Dopiero, kiedy przyszła wiadomość, że powstanie w Krakowie załamało się, na prowincji zaś postępowy odłam szlachty, który odpowiedział na apel paryskiego Towarzystwa Demokratycznego, wycięty został przez chłopów, kiedy ranni zostali przywódcy powstania — ksiądz Kmietowicz i organista wiejski Jan Kanty Andrusikiewicz, a kontakt z poronińskim wikariuszem, ks. Głowackim, zerwany, „wyszli najstarsi gazdowie, a stary Ziender zwany Piasek, niósł na wysokiej żerdzi rozpiętą białą płachtę". Walka była skończona. Dwaj Jezuici „w procesyi zaprowadzili upokorzonych i shańbionych powstańców na granicę węgierską i kazali im zrobić słup graniczny z orlem austryackim w tem samem miejscu, na którem go w dniu powstania porąbano". Potem chłopi chochołowscy wrócili do swojej nędzy pańszczyźnianej lub poszli do więzień.

*

Po akademii padał gęsty śnieg i powietrze było mleczno białe jak ziemia. Ludzie wysypali się na dwór, przystanęli przy grupie filmowców, potem poszli ku chałupom. „Aktorzy na plan!" krzyknął przez wielką tubę reżyser. Dzieci wiecznie ciekawe przylepiły się do załomów ścian i obserwowały. Janowska wbiegła w kożuszku, narzuconym na góralską suknię, za nią Różka Blaszyńska. „Patrzcie, Różka gra!" krzyknął jakiś malec, a Różka, ocierając ręce wilgotne jeszcze od pracy w chałupie, słuchała uwag reżysera, śmiała się aparatowi w obiektyw, i wcale przed nim nie g r a ł a: b y ł a tylko, to wszystko. Reżyser zacierał ręce: „Udała mi się dziewczyna". Potem, kiedy reflektory wdarły się w śnieżną mgłę, krzyknął przez tubę: „gotowe!", poczekał jeszcze chwilę, bo stary góral kusztykał właśnie przez plan, potem powiedział: „aparat" i aparat ruszył lekkim szmerem przesuwanej taśmy.

Stary góral zatrzymał się z boku przy Froncystym i mruknął: „Nie wies o cym oni kręcom ten film?" Froncysty wiedział, że o przemytnikach i pracy WOP, ale niedokładnie, położył więc tylko palec na ustach.

Tymczasem wesele jakieś nadjeżdżało i już z daleka dochodziły stłumione śpiewy. „Stać!" dał znak ręką asystent reżysera dwom góralom na koniach, poprzedzającym orszak. Górale zatrzymali się, za nimi sznur ustrojonych świerczyną sań. Konie prychały zniecierpliwione postojem, potem poderwały się, nagle podcięte przez woźniców batem: reżyser wykrzyknął „stop!", zdjęcie było skończone, droga wolna.

Weselnicy zajechali na plac przed kościołem, skręcili ostro i wysiedli. Najpierw szli pytacze w czarnych cuchach, opasani wstęgą wielokolorową. Zeszli z koni i podśpiewywali: „Co to za wesele, co ludzi niewiele, nikogo nie słychać, musieli wyzdychać", ale ludzi było właśnie bardzo wiele i pytacze byli zadowoleni.

„He, młodzi, kie bedom krzciny?" zakrzyknął stary góral i zaśmiał się gwałtownie i starczo. „Były już, były", odkrzyknął któryś z weselników i poszedł za wszystkimi naprzód. Stary góral popatrzył jeszcze chwilę, potem zmarszczył się, przypomniał sobie widać weseliska ze swoich młodych lat, bo mruknął: „nie tak to dawniej bywało".

Kiedy weselisko wyszło z kościoła, chłopcy powyjmowali butelki z głębokich kieszeni i zaczęli pić, częstując obecnych wokoło. „Napijmy się wódki, bo to już czas krótki, bo za śtery lata będzie koniec świata", zaśpiewał któryś. Podjęli wszyscy chórem: „Pijcie chłopcy wódkę, bo wódka nie woda, składajcie się syćka, bo każdego szkoda..."

*

Ludzie są na ogół nieufni i skryci. „Nie dziwcie im się, że nie lubią gadać", tłumaczył Władysław Kois, sekretarz gminny, „bo zawsze, kiedy co gadali, to potem dostawali w skórę".

Jeżeli się jednak pokoju nie dawało i potrafiło zaskarbić zaufanie górali, to gadki opowiadali godzinami. Stara Koisowa, Karola i Władysława matka a sabałowa wnuczka, opowiadała z dumą o swym dziadku i o tej delegacji podhalańskiej, z którą pojechała do Wiednia na zjazd wszystkich cesarsko-królewskich ludów.

Froncysty opowiadał jak to na początku wojny przemycał oficerów polskich na Węgry. „Dopóki Niemcy nie trzymają się na granicy za ręce, zawsze przejdę na drugą stronę", mówił. Chodził też tam i z powrotem póki sam nie musiał uciekać przed Niemcami. Dzisiaj otrzymuje listy z całego świata.

w Chochołowie ludzi leczy, bo był felczerem w wojsku i opowiada historie ciekawe o Kurdach, Turkach, Arabach, Włochach i swoich niezliczonych przygodach.

I inni mieli coś nie coś do opowiadania o przemycie, bo granica ciągnęła się równolegle do wioski, tuż za ostatnimi chatami. Granica tak szła od wieków, Suchą Górę po węgierskiej a dziś po słowackiej zostawiała stronie. „Kieby nie było takiego twardego przechodzynio, toby clek może i nie seł, a tak to cosik ciongnie, jakos żyłka do tego niebezpieczenstwa", mówi młody góral, uśmiechając się, jak gdyby przypominał sobie swoje wszystkie wyprawy, te dla zysku i te dla sportu.

Karol Kois opowiada jak Niemcy namawiali i zmuszali chłopów do przyjęcia „narodowości góralskiej" i jak nic nie wskórali, chociaż przeprowadzali obławy i rewizje we wsi w rocznice powstania, a 11 górali rozstrzelali, 140 do Niemiec wywieźli, a 30 do „pałaców", siedziby Gestapo w Zakopanem. Józef Kois, ojciec Karola i prawnuk powstańca: staruszek już przecież, od lat trzydziestu wójt chochołowski, zaaresztowany w 1941 roku, mówił w celi: „Mój pradziadek w roku 1846 w kryminole na Szpilbergu siedzioł to jakoz by to bylo, coby teroz w niemieckim kryminole Koisa brakowało. Jo stąd nie wyjdę, ale wy wyjdziecie, to powiedzcie, ze stary Kois umar tu za Polske".

Jeżeli się pokoju nie dawało i potrafiło zaskarbić zaufanie góralskie, to nawet i na stryszek można było się wdrapać w chałupie, poszperać w starych papierach, może nawet odgrzebać z kurzu jakąś książkę. Były to książki stare i rzadkie, o powstaniu i o procesie, przechowywane z pietyzmem i nie pokazywane nikomu. „Bo widzicie, ten Siuty, co tu o nim drukujom, to był mój pradziod i on sie w powstaniu bił, panie!"

*

Trzydniowe powstanie chochołowskie zbiega się z nieudałym powstaniem krakowskim Dembowskiego i Tyssowskiego, a więc z postępowymi ruchami wolnościowymi, które u nas o dwa lata wyprzedziły Wiosnę Ludów. Jest ono ściśle związane z procesem chochołowskim, jednym z nielicznych przejawów świadomej walki klasowej chłopów przeciw panom. Sięgnijmy do akt.

„Dobra Czarny Dunajec z przyległościami Chochołów, Ciche, Dzianisz, Podczerwone, Witów i Wróblówką pozostawały w posiadaniu Wysokiego Skarbu i tworzyły IV-tą sekcye dóbr kameralnych Nowo-Tarskich aż do dnia

(Dokończenie na stronie siódmej)

KSIĄŻKI · KSIĄŻKI · KSIĄŻKI · KSIĄŻKI · KSIĄŻKI · KSIĄŻKI · KSIĄŻKI

Na dworze saskim

Józef Ignacy Kraszewski. Brühl. T. I. i II. Warszawa. „Czytelnik", 1947; str. XIX i 1 nl. i 200 i 2 nl.

Powieść historyczna może być — jak wiadomo — bliższa dzisiejszemu czytelnikowi, niż niejeden utwór aktualny. Współczesność bowiem nie ogranicza się do wyboru tematu. Ważniejsza jest pod tym względem koncepcja człowieka, taka, jaką wypracowaliśmy sobie latami dziejowych doświadczeń.

Chociaż autor „Brühla", Kraszewski, nie rozporządzał dzisiejszą wiedzą historyczną — to jednak potrafił słusznie ocenić przedstawianą przez siebie epokę.

Rzecz dzieje się w pierwszej połowie XVIII wieku na dworze saskim. By ukazać właściwą rolę tej pasożytniczej narośli, jaką dwór ten stanowi, czasami tylko dochodzi do głosu „gawiedź". Oto opis obozu Wendów-Łużyczan:

„Około dwóchset do obławy spędzonych Wendów gwarzyło cicho w języku niezrozumiałym, nie śmiejąc nawet głośniej się rozśmiać. Z namiotów dolatywały ich wesołe okrzyki, spoglądali, i im tam szumiało głośniej, tym oni starali się ciszej sprawować. Łowczych kilku czuwało nad tą gawiedzią, która sobie z domu chleb swój przynosić musiała, bo o niej jednej na zamku nie pamiętano. Dla psów gotowano w kotle strawę, o nich nikt się nie kłopotał".

Epizodów takich, ważnych dla charakterystyki epoki, jest co prawda niewiele. Trudno zgodzić się z autorem wstępu, gdy twierdzi, że w powieści „poznajemy całe ówczesne społeczeństwo saskie". Przeciwnie! I nie jest to przypadek — ale raczej konsekwentnie wynika z kompozycji. Świadczą o tym m. i. słowa Hennickego, który chce „drogi szablami pozamykać" przed skarżącymi się na ucisk. Nie trudno odgadnąć, jaką rolę odgrywa w ówczesnych stosunkach machina podatkowa. Główny bohater niezbędność swą zawdzięcza temu, że ilekroć go pytano: „Brühl, pieniądze?" — odpowiadał — „Są, Najjaśniejszy Panie".

Na fabułę powieści składają się niezliczone, mistrzowsko przeprowadzane intrygi, których celem jest uzyskanie wpływu na króla, a dzięki temu możliwości zamiany kamieniczki na pałac. W potędze pieniądza mieści się istota awansu Brühla z pazia na pierwszego ministra.

Postaci pierwszoplanowe, znane czytelnikowi z podręcznika historii, są uwikłane w nieustanne potyczki o wpływy, zaszczyty, dochody. Ilekroć w grę wchodzą najistotniejsze zagadnienia państwa — są tylko marionetkami w czyimś ręku. Sam Brühl nie tai tego: „Jestem w rękach ludzi, sił... których narzędziem być muszę".

Reprezentantem owych sił jest tajemniczy „Najprzewielebniejszy Ojciec" a ideą nim kierującą — jezuicka koncepcja „nawrócenia" i podporządkowania się polityce Rzymu.

Powieść ta jest prawie wolna od informacyjno - dydaktycznych dłużyzn.

Częste są wprawdzie krótkie historyczne wprowadzenia do rozdziałów — ale autor tak ściśle związał je z akcją, że nie psują artystycznego poziomu. Raz jeden wcielił Kraszewski do utworu ładny, interesujący essay, niezbędny dla zrozumienia całości. Dodało to powieści wdzięku, właściwego intelektualnej, erudycyjnej dygresji, o ile jest stosowana z umiarem.

Z tymi wieloma zaletami łączy się jeszcz jedna, cóż, że niezamierzona. Brühl to prawie gotowy scenariusz o przykuwającej uwagę fabule i wielu możliwościach czysto filmowych rozwiązań dla reżysera.

Prof. Hahn w ciekawym wstępie popełnia jeden niebłahy błąd (przy wielu zaletach!): kładąc nacisk na konfrontację powieści z rzeczywistością — gubi się w anegdocie i niewiele przez to pomaga do istotniejszego zrozumienia epoki Brühla — nie mówiąc już o epoce Kraszewskiego.

Jan Józef Lipski

Dwie powieści historyczne

Teodor Tomasz Jeż. Uskoki. Warszawa, „Czytelnik", 1948; t. I, str. 226, t. II, str. 352. Teodor Tomasz Jeż. Ci i tamci. Warszawa, „Czytelnik", 1948; str. 438.

Teodor Tomasz Jeż, był niegdyś — przed laty siedemdziesięciu i osiemdziesięciu — bodaj najpopularniejszym (obok Kraszewskiego) dostawcą powieści dla szerokich mas drobnoszlacheckich i dla czytelników miejskich. Obecnie przypomniano sobie o nim na nowo. Może nawet z powodów pozaliterackich; Jeż był wybitnym działaczem Towarzystwa Demokratycznego, sam na owe czasy był człowiekiem nader postępowym, wolnomyślnym, do tego szczególnie zasłużonym przy montowaniu przyjaźni Polski z ludami południowosłowiańskimi i z narodem węgierskim. Względy dostatecznie ważkie, by postać tego działacza politycznego o dość awanturniczym żywocie, przypomnieć czytelnikom, byłyby może za mało istotne dla akcji upowszechniania książek. Tu decydują zupełnie inne właściwości „Jeżowych" powieści: ich niezwykle błyskotliwa, pełna rozmaitej intrygi i bardzo plastyczna, wręcz filmowa — fabuła powieściowa. Ona to werbowała Jeżowi wiernego czytelnika w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Ona uczyni to niewątpliwie i obecnie. Oczywiście nie wszystkie powieści Jeża wchodzić mogą w rachubę. Niezwykle płodny pisarz zostawił ich w spadku aż dziewięćdziesiąt. Redaktorzy pierwszej serii KUK nie najbardziej ciekawą z nich („Narzeczona Harambaszy") wybrali do swego kompletu.

Jako kolejne tomy dużej serii dzieł Teodora Tomasza Jeża, ukazały się dwie powieści, z których każda może świetnie odegrać właśnie rolę swoistej „przynęty dla czytelników".

„Uskoki" były za życia Jeża jego najsławniejszą powieścią. Wydawcy rozbijali się o nią, Orzeszkowa wielbiła ją w listach i recenzjach. Tłumaczono ją na obce języki. Drukował ją w odcinku największy dziennik paryski „Le Monde". Angielski tłumacz mr. Oxley po prostu książkę ukradł i wydał w Londynie pod własnym nazwiskiem. Gdy obecnie odczytujemy na nowo bajeczne awantury bośniackich partyzantów w wieku XVI walczących o wolność swego narodu z Turkami i Austriakami — powodzenie „Uskoków" wydaje się usprawiedliwione w całej pełni. Dziś też czytelnicy powieść tę połykać będą jednym tchem. Tak samo zresztą, jak powieść „Ci i tamci". Jest to również powieść historyczna, jedna z ostatnich napisanych przez Jeża. Wydana po raz pierwszy przed 50 laty, obecnie zyskała niezwykle na aktualności, gdyż duża ilość Polaków osobiście poznała Węgry w czasie wojny ostatniej, obecnie zaś losy zbliżają nasze kraje jeszcze bardziej. Jubileusz stulecia „Wiosny Ludów" również przyczynił się do rozciekawienia powieścią opowiadającą o przygodach młodego Polaka walczącego w „Legionie Polskim" na Węgrzech w latach 1848/49.

Powieść, której fabuła, werwa i humor nie straciły świeżości w ciągu pół wieku, będzie dla wszystkich lekturą pasjonującą.

Kazimierz Koźniewski

JESZCZE RAZ O OKUPACJI

Jerzy Waldorff. Godzina policyjna. Powieść. Warszawa, „Panteon", 1948; str. 217 i 5 nl.

„Godzina policyjna" Waldorffa powstała w latach 1941—1943. Swiadczy o tym nie tyle treść — ile data jej napisania: autor wyraźnie stara się o wytworzenie dystansu wobec opisywanych wydarzeń i udało mu się to aż nazbyt dobrze. Wyrzekł się form lirycznego pamiętnika i reportażu — a zastosował jedną z odmian klasycznej powieści, sięgając do tradycji „Diabła kulawego" Lesage'a. Tam diabeł podnosi dach, by pokazać bohaterowi najintymniejsze życie ludzi. Tu czytelnik ogląda nocą przekrój jednej z wielu kamienic warszawskich. Zaglądanie do mieszkań przez przezroczyste dla obserwatora ściany — kryje w sobie niebezpieczeństwo jednakowego traktowania istotnych spraw — i anegdotek z kuchni i sypialni. Autor „Godziny policyjnej" nie potrafił — czy może nie chciał — hierarchizować faktów. Toteż przypadkowe obserwacje awansują tu do roli zasadniczej: indywidualne przeżycia i zbyt liczne drobiazgowe spostrzeżenia (np. dwie muchy ssące cukier, pchła gryząca księcia Gerlicza) stają się faktami nie mniejszej wagi, niż zamach na agenta Gestapo. Współistnieją w świadomości bohaterów powieści — i to ma rzekomo usprawiedliwić równorzędne ich potraktowanie. W ten sposób wypacza się prawdę o latach okupacji: nigdy chyba sprawy zasadnicze nie były tak wyraźnie odgraniczone od drobiazgów, jak w czasie ubiegłej wojny.

Historia jednej nocy miała wyczerpać całą wiedzę o tamtych latach. Luźno powiązane wątki powieściowe ilustrują ważniejsze problemy. Oto w skrócie „spis rzeczy" zawartych w „Godzinie policyjnej": przyjęcie w zamożnym domu mieszczańskim, którego gospodarz jest typowym spekulantem wojennym; wieczór bojowca; rozpacz żony, która otrzymała przesyłkę z prochami męża zamordowanego w obozie; rozdziały poświęcone przeżyciom więźnia w Alei Szucha; najtrudniej się domyślić, do czego były potrzebne długie strony o prostytutce, które przypominają ograne paradoksy naturalistów, przeciwstawiających moralności mieszczańskiej — moralność mętów społecznych. Dziś to już myszką trąci.

Autor, dążąc do realizmu, starał się stworzyć pewną typowość osób i sytuacji. W tym celu obrał metodę być może nienajtrafniejszą: poprzestał na tradycyjnie przyjętych wyobrażeniach. W powieści nieznośne są takie uproszczenia: jeśli arystokrata — to mówi o koniach; zamożny mieszczanin — a więc chce być za pan brat z arystokracją; drobnomieszczanin — a więc córka bębni popisowe „kawałki" na fortepianie; drobni urzędnicy — a więc pozbawieni fantazji; żona dorobkiewicza — a więc podobna do rzeźnika (?); konspirator — a więc czerwienieje i wali pięścią w stół, ilekroć kto poniewiera najświętszym dlań słowem „Ojczyzna"; itd., itd. Czasami są to obserwacje statystycznie słuszne, częściej konwencjonalne uproszczenia: „Adam? — Praojciec!"

Dążność do wyczerpania problemu objęła w „Godzinie policyjnej" tylko dobór tematów. Trudno tu znaleźć wytłumaczenie mechanizmu ówczesnego życia. Salon Zabłockich nie daje podstaw do orientowania się w czarnorynkowych orgiach wojennych. Konflikt między konspiratorem a jego matką niewiele nam mówi o podziemiu i raczej zniekształca prawdę, gdyż pomija codzienne sprawy konspiracji z jej licznymi cieniami — ukazując zamiast tego odświętny moment akcji bojowej. Co dziwniejsze: autor, obdarzony na ogół przenikliwością psychologiczną, nie potrafił dostrzec, że i matka, gdy pragnie uchronić syna przed niebezpieczeństwami walki, ma swoje poważne, choć niedostateczne racje.

Mógłby kto pomyśleć po przeczytaniu powyższego, że w „Godzinie policyjnej" niczego poza wadami znaleźć się nie da. Tak nie jest: zalet jest wiele. Należą do nich: swobodna, niewymuszona narracja, znamionująca powieściopisarza o dużych możliwościach na tym polu twórczości; umiejętność takiego rozmieszczania napięć sytuacyjnych i point, które utrzymuje czytelnika w ciągłym zainteresowaniu dla fabuły: wspomnieć tu należy np. tajemniczą wizytę w kuchni u Zabłockich, o której czytelnik początkowo wie tyle, co i osoby powieści: może to Gestapo — a może jakieś domowe, sąsiedzkie sprawy? Przypadkowe aresztowanie Jurka Grothe młodego zamachowca, posiada dzięki stworzonej przez autora sytuacji znamienną prawdziwego tragizmu. Opowieść o Nowickim, więźniu z Alei Szucha i Pawiaka, wyróżnia się psychologiczną przenikliwością i interesującą budową: są to właściwie dwie skonfrontowane nowele — jedna powstała w fantazji Nowickiego i ma za temat czekające go śledztwo — druga przedstawia rzeczywistość śledztwa.

Wszystkie te zalety byłyby bardziej dostrzegalne, gdyby autor potrafił narzucić sobie pewne ograniczenia, a nie próbował pisać o wszystkim. Satyra społeczna, obraz walki konspiracyjnej, filozofia... — wszystko miało tworzyć wyczerpującą syntezę. Nic tak nie szkodzi „Godzinie policyjnej", jak kontrast między wielkim zamiarem a niedociągnięciami wykonania. Ambicje artystyczne, widoczne w wyborze trudnego gatunku literackiego i szerokość poruszanych zagadnień — zobowiązywały do osiągnięć znacznie większej miary.

Jan Józef Lipski

FAUST POTĘPIONY

(Dokończenie ze strony trzeciej)

nic wspólnego. A jednak je przygotował. Jest nieludzki lub „ponadludzki", tak czy inaczej antyhumanistyczny. Estetyzujący pesymizm Tonia Kroegera przerodził się w nim w nihilizm — a hitleryzm był przecież „rewolucją nihilizmu" (Rauschning). Nihilizm Leverkuehna zwrócił się przede wszystkim przeciwko Beethovenowi, który dzięki swej ludzkiej godności i wszechogarniającej miłości, starał się — wg. Manna — osłabić pierwotne, niebezpieczne działanie muzyki, tego przymierza dokładnego obliczenia z ekstazą".

„Już wiem — powiedział (Leverkuehn do Zeitbloma) — to nie ma racji bytu.

— —Co, Adrianie, nie ma racji bytu?

— To co dobre i szlachetne... co się nazywa ludzkim... O co ludzie walczyli, w imię czego zdobywali zamki ciemięzców.. To zostanie odwołane. Ja to odwołam.

— Nie zupełnie cię, kochany, rozumiem. Co chcesz odwołać?

— Dziewiątą Symfonię — odparł".

Regresja Leverkuehna — artysty do przedhumanistycznych, mrocznych źródeł dokonała się ostatecznie w apokaliptycznym oratorium „Skarga Doktora Fausta", „kongenialnym negatywie" IX Symfonii i jednocześnie Leverkuehn — człowiek odbył drogę wsteczną do stanu pierwotnego, nieświadomego bytowania, pogrążywszy się w odmęcie obłędu. Katastrofa jest zupełna, bez promyka nadziei.

O ile Leverkuehn, genialny antyhumanista, duchowo przygotował katastrofę Niemiec i przed czasem duchowo sam ją w swoim świecie przeżył, o tyle Serenus Zeitblom, zwyczajny, choć bardzo wykształcony mieszczanin przewidując od dawna jej nadejście, nie zrobił niczego, by ją odwrócić. Jest typowym „wewnętrznym emigrantem", apolitycznym „dobrym" Niemcem, który potępiając cichutko reżim hitlerowski i życząc mu jeszcze ciszej upadku, myśli jednocześnie z przerażeniem o klęsce ojczyzny i z tego powodu wygłasza chwilami zastanawiające zdania. I w nim siedzi podświadomie kawałek nazisty. Dużo dowodów na to można znaleźć w komentarzach do sytuacji wojennej, którymi Zeitblom przeplata opowieść o Leverkuehnie. Żal mu niewymownie zmarnowanego przez Hitlera entuzjazmu mas niemieckich, z melancholią wspomina czasy, gdy zdawało się, że narodowy socjalizm odrodzi kraj, z drugiej strony podkreśla z naciskiem, że wiele było rzeczy haniebnych i złych, za które trzeba zapłacić. Raz po raz odnosi się wrażenie, jakby jednak pragnął potrosze zwycięstwa Niemiec, to znów zdaje sobie sprawę, iż koniec III Rzeszy musi i powinien nastąpić, dodając prędko: „Bóg niech nam będzie łaskaw". Chwieje się tam i z powrotem, tylko jego uczucie dla Leverkuehna nie ulega wątpliwości. Jest zafascynowany potężną indywidualnością kompozytora, kocha go „miłością pełną przerażenia" — jakże znaczące wyznanie. Boi się gwałtownych przemian społecznych, ale to, co „jako człowiek umiarkowany i syn humanistycznej kultury" odczuwający „naturalny strach przed radykalną rewolucją i dyktaturą niższych klas" wypowiada o bolszewikach (chodzi o rok 1918) jest jakby dalekim, słabiutkim echem postępowych uwag Manna, zawartych w głośnym artykule „Antybolszewizm — największy nonsens naszej epoki".

W sumie Zeitblom, częściowo rzecznik poglądów autora z czasów pierwszej wojny światowej (Mann poszedł naprzód, mieszczaństwo niemieckie stanęło w miejscu) jest nie mniej charakterystyczny od Leverkuehna. Muzyczny prekursor hitleryzmu i „wewnętrzny emigrant", ludzie, którzy by na pewno nie brali nigdy czynnego udziału w zbrodniach nazistów uzupełniają się wzajemnie i wspólnie symbolizują duchowe przyczyny i przebieg niemieckiej katastrofy. Reszta osób występujących w książce składa się na urozmaicony cyrk ludzki, pełen snobizmu, przesądów, głupoty, „wielkodusznej" wyrozumiałości dla kiełkującego zła i schyłkowego łaknienia pierwotnych „dreszczyków". Tu może parodystyczno - ironiczny stosunek Manna do przedmiotu przejawiający się również w traktowaniu Zeitbloma i zagadnień sztuki mieszczańskiej (przez usta diabła), najwyraźniejszej doszedł do głosu.

W końcu wypada zadać pytanie, jak wartościować „Doktora Fausta" pod względem ideowym, czego jest wyrazem i co daje Niemcom? Otóż to, co poprzednio nadmieniłem o heroizacji potępionego i potępianego, lecz bliskiego sercu bohatera (Nietzsche — Leverkuehn — naród niemiecki — Mann lat dawniejszych) wiele już wyjaśniło. Pierwiastki parodystyczno-ironiczne świadczą dodatkowo o krytycznym nastawieniu do opisywanego świata, z którym autor, mimo, że od niego odszedł, wciąż jeszcze czuje się uczuciowo związany. Jako publicysta i essayista patrzy od lat w przyszłość i będąc obywatelem amerykańskim prowadzi ostatnio odważną walkę o pokój i postęp przeciwko imperialistyczno - reakcyjnym tendencjom polityki wewnętrznej i zewnętrznej Stanów Zjednoczonych. Jako artysta spojrzał w „Doktorze Fauście" jeszcze raz z „gniewną miłością" w przeszłość, by ją nie bez bólu, nie bez silnego poczucia tragizmu ostatecznie zamknąć. „Doktór Faust" nie wskazuje Niemcom nowej drogi, ani nie mówi o społecznych siłach mogących ich na nie pchnąć, jest tylko artystycznie wstrząsającym epilogiem epoki, kończącym się modlitewną prośbą Zeitbloma: „Bóg niech będzie miłościw waszym biednym duszom, przyjacielu mój, ojczyzno moja" Ale to westchnienie nie uratuje duszy Fausta-Leverkuehna. Faust jest na zawsze potępiony. Rozbite Niemcy chcąc się odrodzić do innych, nie faustowskich muszą sięgać ideałów i wzorów.

Jeśli idzie o literackie walory 70-letni Mann wzniósł się w „Doktorze Fauście" na takie wyżyny sztuki pisarskiej, z taką zwłaszcza plastyką i wnikliwością zobrazował przebieg procesu twórczego i przedstawił genezę, strukturę i oddziaływanie kompozycji Leverkuehna, że Georg Lukacs nie zawahał się przed zaliczeniem dzieła do szczytowych i wyjątkowych osiągnięć literatury światowej.

Egon Naganowski

CHOCHOŁÓW W LUTYM 1949

(Dokończenie ze strony szóstej)

7 czerwca 1819 roku, w którym (to dniu) dobra te przez ck. galicyjską komisyę sprzedawczą dóbr państwowych... Janowi Pajączkowskiemu za ofiarowaną przezeń sumę 11501 złr. mk. zostały na własność sprzedane..."

„Gdy... w dniu 18 października 1818 roku kontrakt został zatwierdzony i nabywca Jan Pajączkowski stał się nieodwołalnym właścicielem przerzeczonych dóbr, jakoś we wrześniu lub październiku 1819 r. zjechał on do Czarnego Dunajca dla oglądnięcia na miejscu majątku, który znał tylko z mapy, lecz gdy zaraz w pierwszym dniu swego przybycia spostrzegł, że w nabytym przezeń majątku nie ma nie tylko żadnego dworu, w którymby bodaj parę godzin można było się zatrzymać i gdy się przekonał, że przenocować w obrębie nabytej fortuny może tylko w wynajętej przez siebie w tym celu żydowskiej stajence, zapowiedział zaraz pańszczyźniakom... że sprzeda ich Turczynowi, jeżeli nie odkupią od niego tychże dóbr i nie zwrócą mu jego kosztów i wydatków".

Te „koszty i wydatki" przewyższały już co prawda cenę kupna o przeszło 6000 złr. mk., niemniej jednak „jużto z obawy przed mniemanym Turczynem, jużto z myślą uwolnienia się od powinności poddańczych, uradzili pańszczyźniacy za żądaną cenę owe lasy od Jana Pajączkowskiego odkupić". Wobec tego jednak, że „natedy nie wolno było włościanom nabywać dóbr tabularnych, uradzili i postanowili dla obejścia tego zakazu udać się do swego krajana... księdza Józefa Szczurkowskiego.. i skłonić go, aby na ich wszystkich rzecz ale na imię swoje, a więc pozornie dla siebie zawarł we własnym imieniu kontrakt kupna".

„Zapożyczali się tedy u zasobniejszych spośród siebie, u sołtysów, zaciągali pożyczki w Nowym Targu i na Węgrzech, skąd gotówkę w formie miedzianych pieniędzy workami całymi przywozili, wysprzedawali bydło i owce, ruchomiznę, sprzęty gospodarskie, a byle dojść tylko do potrzebnej ilości gotówki na kupno lasów... Ograniczali się w swoich wydatkach tak daleco, że nawet najniezbędniejszych niemal artykułów do prowadzenia gospodarstwa nie nabywali... byle tylko pozyskać gotówkę... na odkup lasów".

Tymczasem jednak ksiądz Szczurkowski „sromotnie te dobra ku osobistym celom wyzyskał", a 8 stycznia 1822 r. ustąpił na własność krewniakowi swemu, Jędrzejowi Szczurkowskiemu, z tym zastrzeżeniem jednak, że dobra te wrócą do niego w razie śmierci Jędrzeja. Jędrzej oczywiście nie czekał na swoją śmierć i po czteroletniej eksploatacji odsprzedał dobra Kajetanowi baronowi Borowskiemu. Ponieważ ten „wszedłszy w posiadanie domagał się od pańszczyźniaków odrabiania powinności poddańczych, a oni zaś odrabiania takowych stanowczo odmawiali w zrozumieniu, że są jedynymi prawnymi właścicielami tych dóbr, zaś Borowski tylko prawnonabywcą przywłaszczycieli, przeto wywiązały się stąd między Kajetanem baronem Borowskim a tymiż pańszczyźniakami zatargi, które ostatecznie kończyły się na tem, że pańszczyźniaków przemocą na leśniczówkę ściągano i tamże do odrabiania ich powinności poddańczych karami cielesnymi zmuszano".

W r. 1831 baron Borowski wykorzystał wybuch powstania w Warszawie, aby sprowadzić wojsko austriackie w celu stłumienia „rewolucyjnych nastrojów". „Komisarz cyrkułu tak kazał bić górali, że aż krew ciekła z ławek i psy ją lizały, a wielu górali... w kalectwo popadło". W końcu, nie mogąc przełamać oporu chłopów, Kajetan Borowski w roku 1839 ustąpił dobra swemu krewnemu Hieronimowi, również baronowi. Tymczasem jednak umarł Jędrzej Szczurkowski i ksiądz Józef Szczurkowski, uważając się — na podstawie umowy ze swym zmarłym krewnym — prawnym posiadaczem dóbr, sprzedał je księdzu Józefowi Wilczkowi. Wobec tego, że były one w posiadaniu barona Borowskiego, ksiądz Wilczek wystąpił do sądu i proces wygrał. Wówczas jednak baron Borowski oskarżył księdza Szczurkowskiego o oszustwo i mając widocznie większe w sądzie wpływy niż ksiądz z małego miasteczka, uzyskał wyrok skazujący ks. Szczurkowskiego na 3 lata więzienia. Tymczasem jednak ksiądz Wilczek, szanowany autor „Kazań Passyonalnych o Męce Pańskiej", dwóch „Roczników kazań na niedziele całego roku" i dzieła „O warunkach pokuty", gnębił chłopów jeszcze gorzej niż jego szlacheccy poprzednicy. W takich warunkach wybuch odosobnionego powstania chłopskiego w Chochołowie przeciw Austriakom nabiera właściwej wymowy.

Rola, jaką odegrała w nim inteligencja wiejska w osobie Andrusikiewicza, organisty i nauczyciela parafialnego, któremu, „gdy umarł (w Kamienicy koło Limanowej), nie położono na grobie żadnego znaku czy krzyża", wpływ niższego kleru (ks. Kmietowicz z Chochołowa, ksiądz Głowacki z Poronina), wreszcie rola niższych urzędników (urzędnik celny Lebiocki) jest mało znana. Szkoda. Przecież pamiętniki Andrusikiewicza znajdowały się ponoć w Nowym Sączu (u A. Skąpskiego?) jeszcze z początkiem dwudziestego wieku, zaś jego wspomnienia, spisane przez Kaczkowskiego, leżą nieproduktywnie w bibliotece rapperswilskiej. Mimo zniszczeń wojennych wiele jeszcze dokumentów archiwalnych znalazłoby się u chłopów chochołowskich, a może nawet i w okolicy. Stanowczo warto by je odszukać, zabezpieczyć, posegregować i poddać analizie krytycznej. Chochołów wieku dziewiętnastego zasługuje na poważniejszą monografię.

Sam proces bowiem zakończył się dopiero w roku 1895! Po zniesieniu pańszczyzny Chochołowianie wystąpili z petycją do Najjaśniejszego Pana, który przekazał sprawę do Sądu Najwyższego w Wiedniu. Ten w roku 1864 przesądził ją na rzecz gminy chłopskiej, ale dopiero w r. 1895 po indywidualnych próbach podziału lasów, sprawa została ostatecznie zakończona i dobra bezapelacyjnie przyznane chłopom.

*

Dziś wieś jest spokojna i cicha. Ksiądz sprzedaje kalendarze, w których na stronie 37 jest napisane, że „modlitwą dokonać możemy rzeczy wielkich: osuszać łzy setkom nieszczęśliwych bliźnich, opróżniać piekło, odbudowywać świat". Dom Parafialny też jest opróżniony, a można by tam założyć świetlicę.

Poza „Przyjaciółką" i „Rolnikiem", więcej pism przychodzi z Ameryki niż z Polski. Wielu chochołowian wyjechało za ocean w latach wielkiej biedy i dziś przysyłają do swojej wsi rodzinnej „The Tatra Eagle" — „Orła Tatrzańskiego", w którego pierwszym numerze ze stycznia bieżącego roku — Jan Gromada, prezes Stowarzyszenia Tatrzańskich Górali pisze: „W tradycji polskiej ustalony jest fakt, że górali nie można wynarodowić... Jest to może jedyna i ostatnia grupa ludowa Polaków w Ameryce, która trzyma się tradycji przywiezionych z kraju". Hanka z Długoszówki we Witowie mówi, że jej ciotka wyjechała już trzydzieści lat temu, a są tacy, którzy wyjechali na długo przed pierwszą wojną. Ale w „The Tatra Eagle" jest stała rubryka „Echo spod Giewontu", a w pierwszym numerze ze stycznia taki wiersz: „Czyś nie wiedział, że górale za kęs chleba Muszą rzucić swoje góry, swoje nieba, Chociaż później stale w sercu noszą żale Lecz przy śpiewie, tańcach, strojach tkwią wytrwale ' I się u nich prędzej zejdzie z górą góra Niż cię weźmie, gdyś nie góral, z dziewcząt która".

Dziś wieś jest spokojna i cicha. Czasem tylko Bochniak Franciszek, goniec Gminnej Rady Narodowej, zwany Król, ustawi się naprzeciw poczty w centrum wsi, zagra na bębnie i jak herold średniowieczny odczyta zarządzenie starostwa lub wójta. Kilka dni temu obwieścił decyzję Rady Gminnej o budowie drogi do Dzianisza ,a stąd przez Gubałówkę do Zakopanego. To będzie droga turystyczna, krótsza i łatwiejsza od obecnej. Chochołowianie budują tę drogę sami, zaczęli już zwozić kamienie, a trzeba im 1000 m kamieni, ale to na zjednoczenie chłopskich partii, mówią.

Czasem odbędzie się zabawa, wtedy cała młodzież szykuje się na tańce, choć sala Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej jest niewielkim pokoikiem i trudno tam tańczyć. Do tej salki właśnie zaproszono ekipę filmową, aby się też raz zabawiła naprawdę, po góralsku. Dochód z zabawy był przeznaczony na zakup odbiornika radiowego do świetlicy spółdzielni.

Z daleka, tyle że kulą śnieżną mocno rzucić, szlaban białoczerwony zamyka się obok strażnicy i kończy się Polska. Chłopi, kiedy mają wolną chwilę, zbierają się u Miętusa w sklepie i za dziesięciogroszowy krążek przedwojenny grają w bilard. Nad Miętusem ulokował się posterunek milicji. U dyżurnego stoi aparat telefoniczny, jedyny, z którego można skorzystać po godzinie trzeciej, po zakończeniu urzędowania przez jednoosobowy personel poczty. Na aparacie orzeł cesarsko-królewski drapieżnie rozszerzył czerwone szpony i rozchylił żółty dziób. Jeżeli pokręcić korbką dwa razy, odezwie się posterunek z Cichego. Jeżeli pokręcić jeszcze trochę, odezwie się Nowy Targ. Hallo, poproszę Łódź! Druty idą równolegle z radiowęzłem i kiedy trzyma się słuchawkę przy uchu słychać cichutki szept dziennika wieczornego albo pogadanki.

Mariusz Margal

GRAFIKA

E. M. LILIEN

Z cyklu: „Graficy zapomniani"

Ephraim Mojżesz Lilien urodził się 23 maja 1874 r. w Drohobyczu. Był synem tokarza-chałupnika, miał ciężką młodość. Jego zdolności rysunkowe zwracały ogólną uwagę i wydawało się, że zasługuje na lepszy los niż brat,

Ex libris Maksyma Gorkiego

przeznaczony na spadkobiercę ojcowskiego warsztaciku tokarskiego, mieszczącego się w rogu izby, upamiętnionej przez Liliena na jednej z jego akwafort. Cała rodzina złożyła się, aby szesnastoletniemu Lilienowi umożliwić studia rysunkowe. W 1890 r. Lilien wyjeżdża do Krakowa do Matejki. Pomoc pieniężna rodziny okazała się niewystarczająca, Lilien maluje szyldy sklepowe, aby tylko móc się dalej kształcić w malarstwie. Nie daje rady, po dwóch latach musi wracać do Drohobycza, gdzie wprawdzie nie zaspokoi głodu wiedzy, ale przestanie odczuwać codzienny głód. Wraca nie bez pewnych osiągnięć. Dwuletnie studia dały mu podstawy rysunku, wyrwały z prowincjonalnego autodydaktyzmu. W roku 1894 Lilien zdobywa nagrodę za dyplom honorowy dla poety Ujejskiego i wyrusza w świat; jedzie do Wiednia na dalsze studia w Akademii Malarskiej, a w r. 1896 wyjeżdża do Monachium.

Był to okres nowych prądów w grafice, wznawiających ilustrację książkową i głoszących hasło przywrócenia grafice należnego jej miejsca. Wysuwano, że grafika, operująca innymi środkami niż malarstwo, nie może opierać się na naśladowaniu malarstwa, że należy wyodrębnić grafikę od malarstwa, że ma ona własne sobie tylko właściwe zadania. Uważano grafikę jakby za uzupełnienie pisma czy druku, za część składową karty książki czy całej książki. Drzeworyty japońskie zdobywają najwyższe uznanie wśród artystów europejskich, wywierają wpływ nawet na malarstwo. Lilien, obeznany z pięknie ilustrowanymi książkami hebrajskimi, stał się wyznawcą nowego kierunku i realizował go jako współpracownik założonych właśnie w Monachium pism artystycznych „Simplicissimus" i „Jugend"; był też współpracownikiem socjalistycznej „Leipziger Volkszeitung". Po trzyletnim pobycie w Monachium, w Berlinie przypadek zetknął Liliena z młodym baronem Boerriesem von Muenchhausen, który zamiast studiować prawo tworzył piękne ballady starożydowskie. Ballady urzekły Liliena, podjął się zilustrowania ich i w taki, trochę dziwny sposób, powstała i wyszła drukiem w 1900 roku książka pod tytułem „Juda".

Ilustracja do „Pieśni z ghetta"

Książka zawiera piętnaście pieśni zilustrowanych przez Liliena. Lilien zastosował do rysunków wyłącznie tusz i operował rysunkami jako przeciwstawieniem druku. Podczas gdy litery są czarne na białym papierze, rysunki Liliena są białe na czarnym tle. Osiągnął w ten sposób wyrównanie druku z rysunkami, stwarzając zamkniętą całość strony.

Piękne są również obramowania rysunkowe poszczególnych stron. Książka a raczej rysunki miały powodzenie niebywałe. Lilien osiągnął w ciągu kilku miesięcy sławę światową.

W 1902 r. nakładem Księgarni Polskiej wyszedł poemat Jana Kasprowicza „Miłość" z ilustracjami E. M. Liliena i E. Okunia. W tym też roku ukazały się nowe ilustracje Liliena do napisanych w języku żydowskim wierszy Morrisa Rosenfelda pod tytułem „Pieśni z ghetta". Morris Rosenfeld, urodzony w Polsce w 1862 r., wyemigrował poprzez Holandię, gdzie wyuczył się szlifierki diamentów i poprzez Londyn, gdzie spędził trzy lata w osławionych „Sweat-Shops", do Nowego Jorku. Przez długie lata pracował ciężko fizycznie, później był dziennikarzem socjalistycznym. Jego „Pieśni z ghetta" opisują trud codziennego życia, ghettem jest tutaj nie jakieś historyczne ghetto żydowskie, lecz ghetto wyzyskiwanego na całym świecie robotnika.

W swych nowych ilustracjach Lilien osiągnął jeszcze wyższy poziom. Jego rysunki stały się swobodniejsze, pełne życia i treści (np. widok kominów fabrycznych, objętych pajęczą siatką i pająk wysysający krew z serca; motyw pajęczyny powtarza się na rycinie, przedstawiającej zapracowanego krawca). Książka nie doczekała się w okresie kapitalistycznym dalszych wydań, a Lilien stał się z upływem czasu grafikiem przemilczanym i zapomnianym.

W 1902 roku Lilien jedzie do Rosji do Maksyma Gorkiego, który stojąc na czele komitetu, zajmującego się sprawami Żydów, zamierzał właśnie wydać zbiór najcelniejszych poezji żydowskich w języku rosyjskim. pod tytułem „Zbiornik". Lilien dostarczył do zamierzonego dzieła trzy rysunki, z których „Ojciec i syn" można zaliczyć do najcelniejszych grafik. W tym okresie powstaje też szereg pojedynczych rysunków, dość dużo exlibrisów oraz ilustracje do wierszy Gabriela d'Annunzia. Lilien nosi się z zamiarem ilustrowania Starego Testamentu.

W życiu jego następuje stabilizacja. Pierwsze akwaforty Liliena, których tematem są najbliższa rodzina i sceny z życia rodzinnego oraz widoki z Palestyny (spędził tam kilka miesięcy, udzielając lekcji rysunków w współzałożonej przez siebie szkole sztuki stosowanej w Jerozolimie) odnoszą się do tych właśnie lat, po r. 1906, kiedy poślubił Helenę Magnus z Brunświku. Lilien pracuje w tym czasie nad ilustracjami do Starego Testamentu, który zamierza ilustrować w dziesięciu tomach. Wykończył bodajże trzy. Praca uległa odroczeniu na skutek służby w wojsku austriackim podczas pierwszej wojny światowej i została przerwana przez śmierć.

Umarł w Brunświku w 1925 roku.

Stanisław Szenic

Okładka „Tygodnika Ilustrowanego"

KORESPONDENCJA

„W sprawie »Dzieł wszystkich« Chopina"

Do Redaktora „Odrodzenia"

Polska, a wraz z nią cały świat cywilizowany obchodzi w tym roku setną rocznicę śmierci Chopina. Zorganizowaliśmy trwającą szereg miesięcy wielką imprezę pt. „Rok Chopinowski". Sypią się koncerty, jedne za drugimi. Jest ich dużo, może nawet za dużo: nie ma prawie dnia, żeby nie było jakiegoś. Pamiętam, że kiedy podczas ostatniego przed wojną Konkursu Chopinowskiego zobowiązany byłem, jako recenzent, do słuchania przez bodaj dwa tygodnie po parę godzin dziennie Chopina, dostałem swego rodzaju „urazu chopinowskiego". Musiałem przez dłuższy czas potem unikać starannie kontaktu z twórczością tego kompozytora, aby móc wrócić do jego wspaniałej muzyki i cieszyć się nią po dawnemu.

Trudno mi krytykować organizatorów „Roku Chopinowskiego", gdyż domyślam się, z jakimi trudnościami muszą się borykać i jak trudną rzeczą jest zmontowanie tak ogromnej imprezy. Zastanawiam się jednak, czy nie można byłoby odciążyć strony muzycznej „Roku" przez organizowanie manifestacji w innych dziedzinach sztuki, np. „Chopin w plastyce", czy „Chopin w literaturze i teatrze"? Gdyby poszukać, to może okazałoby się, że nie tylko jedno świetne „Lato w Nohant" Iwaszkiewicza zostało napisane w związku z życiem i twórczością wielkiego muzyka. — Jak ogólnie wiadomo, odbędą się w tym roku w Weimarze (radziecka strefa okupacji w Niemczech) uroczystości związane z dwusetną rocznicą urodzin Goethego. Otóż projektuje się tam odciążyć program literacki cyklem koncertów, na które złożą się utwory jużto zainspirowane przez twórczość Goethego (np. symfonia „Faust" Liszta), jużto napisane do tekstów Goethego (m. i. cały szereg pieśni także i nasza „Znasz-li ten kraj?" Moniuszki).

Lecz nie o tym chciałem pisać, gdyż nie sądzę, aby — mimo wszystko — najważniejszym wydarzeniem, związanym z setną rocznicą śmierci Chopina, były organizowane u nas koncerty. Będziemy je mogli organizować i na pewno będziemy organizowali za rok, za dwa i za pięć. Bez porównania większym, największym także w skali międzynarodowej ewenementem obecnego „Roku Chopinowskiego" jest zapoczątkowanie przez Instytut Chopinowski i Polskie Wydawnictwo Muzyczne wydania „Dzieł wszystkich" zmarłego przed wiekiem artysty. Ukazały się już „Preludia". Następny zeszyt „Ballady" jest na ukończeniu, potem wyjdą kolejno inne; będzie ich łącznie 26.

Dotychczas nie mieliśmy ani jednego polskiego kompletnego wydania utworów Chopina, mimo iż za granicą było takich wydań sporo. Złożyły się na to ciężkie warunki rozbiorowe, brak dość dużych pieniędzy, brak zmontowanego kolegium dość tęgich fachowców. Obecne nasze „Dzieła wszystkie" przygotował tuż przed wojną J. I. Paderewski, przy współpracy wybitnych specjalistów: L. Bronarskiego i J. Turczyńskiego. Paderewski jest chyba najszerzej znaną postacią we współczesnej pianistyce i z pewnością największym autorytetem, jeśli chodzi o Chopina. Wydanie „Dzieł wszystkich" w redakcji Paderewskiego już teraz przybiera rozmiary międzynarodowej sensacji muzycznej. Jak mi opowiadał dyrektor PWM, Ochlewski, taka np. Brazylia zamawia u nas 5000 kompletów „Dzieł", a Brazylia z pewnością nie będzie poważniejszym ich odbiorcą. — Polskie wydanie „Dzieł" stanie się na dziesiątki lat wzorem dla innych wydawnictw, autorytatywnym — bo popartym autorytetem Paderewskiego — źródłem wiedzy o tekstach chopinowskich dla pianistów całego świata.

Tu dochodzę do sedna tego, co mi leży na sercu. Dlaczego o tak kapitalnym wydarzeniu dla naszej kultury tak mało się pisze? „Preludia" powinny być brane pod mikroskop i omawiane przez najtęższych krytyków. Jeśli są w nich jakieś usterki, to czas jeszcze, aby uniknąć podobnych w następnych zeszytach „Dzieł". Cała prasa zajmująca się sprawami kultury, winnaby — miast przechodzić koło tego zdarzenia obojętnie — zapełnić się omówieniami, analizami i dyskusjami na temat „Dzieł wszystkich" Chopina.

Jerzy Waldorff

KRONIKA TEATRALNA

Zespół artystyczny Domu Wojska Polskiego z Warszawy (orkiestra, balet, chór) występował przez miesiąc w miastach Czechosłowacji. Chór przygotował nowe utwory, a balet odtańczył „Wesele na wsi" i „Janka Muzykanta". Szczególnie ten ostatni cieszył się dużym powodzeniem. Na zdjęciu EDMUND NOWAK jako Janko

Opera Poznańska wystawia balet „OD BAJKI DO BAJKI" czeskiego kompozytora Oskara Nedbala, w układzie choreograficznym Jerzego Kaplińskiego, który także projektował dekoracje i kostiumy do tego baletu. Kapliński swoim zwyczajem zmienił stare libretto całkowicie i popisał się swą bogatą inwencją. — Na zdjęciu Barbara Bittnerówna i Bogusław Stanczak (zresztą rodowity Czech) na tle zespołu

W poprzednim 14 (227) numerze „Odrodzenia": Pamięci generała Swierczewskiego: **Wiktor Woroszylski:** Ballada hiszpańska o Walterze; Zamieć; Epilog. — **Leopold Lewin:** Romanca. — **Jerzy Lal:** Fragment poematu. — **Juliusz Kleiner:** Tryumfy realizmu w nierealistycznej poezji. — **Zofia Szleyen:** Ostatnie zebranie z Walterem. — **Krystyna Grzybowska:** Słowacki na scenie: „Kordian" w teatrze Osterwy. — **Stanisław Kwaskowski:** „Balladyna" u Wysockiej w Kijowie. — **Paweł Hertz:** Działacz irredenty. — **Irena Krzywicka:** Trzy pisma. — **Kazimierz Wyka:** Dwie jesienie. Kino: **Stanisław Grzelecki:** Zagadnienie krytyki filmowej; **Jerzy Płażewski:** Daremna śmierć Zweiga. — Teatr: **Artur Marya Świnarski:** Z teatrów warszawskich. — **Marian Brandys:** W teatrach rzymskich. — **Zygmunt Kałużyński:** Koniec gatunku „mitu unowocześnionego". Książki: **Maria Rzeuska:** Książka powstaje. — List do Redakcji: **Józef Bieniek:** „O pismach dla wsi". — Nowości wydawnicze. — **Hanna Mortkowicz-Olczakowa:** Dziewięciu grafików krakowskich. — Korespondencja: **Jarosław Iwaszkiewicz:** „W obronie starych libretto"; **Włodzimierz Krzemiński:** „Milcz, serce me różowe". — 21 ilustracji. — 8 stron.

W P M
POLSKIE WYDAWNICTWO MUZYCZNE
NOWOŚCI

FRYDERYK CHOPIN
Dzieła wszystkie
pod redakcją
I. J. Paderewskiego, L. Bronarskiego, J. Turczyńskiego z komentarzami i reprodukcjami autografów i portretów
Zeszyt pierwszy
PRELUDIA
Cena 600 zł.

KAROL SZYMANOWSKI O CHOPINIE
zbiór artykułów i przemówień pod red. S. Golachowskiego. Cena 200 zł

KAROL SZYMANOWSKI
WYCHOWAWCZA ROLA KULTURY MUZYCZNEJ W SPOŁECZEŃSTWIE
z przedmową Z. Drzewieckiego Cena 200 zł

A. CHYBINKI
M. KARŁOWICZ
kronika życia artysty i taternika 610 stron, 60 ilustracji. Cena 1850 zł

A. CHYBINKI
SŁOWNIK MUZYKÓW DAWNEJ POLSKI
Cena 3 0 zł

W. RUDZIŃSKI
MUZYKA DLA WSZYSTKICH
400 stron, 10 tablic, 341 przykładów. Cena 1200 zł

Z. LISSA
ZARYS NAUKI O MUZYCE
360 stron, 335 przykładów. Cena 600 zł

J. IWASZKIEWICZ
SPOTKANIA Z SZYMANOWSKIM
Cena 450 zł

J. M. RYTARD
WSPOMIENIA O SZYMANOWSKIM
Cena 200 zł

»RUCH MUZYCZNY«
dwutygodnik. Prenumerata kwartalna 300 zł

»KWARTALNIK MUZYCZNY«
Pojedynczy numer 300 zł. Prenumerata łączna »Ruchem Muzycz« 2100 zł

Żądać wydawnictwa P.W.M. we wszystkich składach nut i księgarniach
Skład główny: Kraków, Basztowa 23, Polskie Wydawnictwo Muzyczne

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-74201 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik